



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-

wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

STANOWISKO KOBIETY

W GOSPODARSTWIE SPOŁECZNYM.

Praca kobiety w społeczeństwie zdaje się być rzeczą nową, owocem postępu czasów ostatnich—równouprawnieniem jej z mężczyzną—i dopomina się ona o tę pracę nieraz hałaśliwie i wyniosłe, jak o prawo ogólne ludzkie, które zatem i jej przysługiwać powinno. Pewien zastęp kobiet nazywa to emancypacją—wyzwoleniem zpod przemocy męskiej, odpychającej kobietę od wszelkich zawodów pracy nadających jakieś wyższe, dostojniejsze stanowisko wśród społeczeństwa, i widzi w tem tryumf idei tegoczesnej. Gdy przecież spojrzysz się w przeszłość wzrokiem uważnie badającym te stosunki, spostrzega się, że praca kobiety miała w wiekach dawniejszych znaczenie bynajmniej nie poślednie, a nawet znaczenie bardzo wysokie, jakkolwiek nie występowała na forum i ograniczała się ściśle do spraw wewnętrznych domu, rodziny.

Za czasów, które historia zowie rycerskimi, za czasów z innym układem społecznym, gdy siła zbrojna nie była tak zorganizowaną, jak obecnie—gdy nie było armij stałych, któreby mogły stanowić dostateczną obronę państwa przed napadem nieprzyjaciół, mąż i ojciec rodziny musiał wobec każdej potrzeby takiej rzucić dom, zostawiając go wraz z całym mieniem posiadaniem pod opieką żony, która potrzebowała wtedy czuwać nie tylko nad całością powierzonego jej pieczy majątku, ale i nad dziećmi, których wychowanie zostawało pod jej kierunkiem, i gdy mąż w obozie lub sali obrad sejmowych spełniał powinność swą obywatela, ona stawała się wtedy pełnomocną

jego zastępczynią—naczelniczką rodu, strażniczką jego dóbr i godności. Obok tego przemysł ówczesny nie zaspakał tak, jak obecnie, wszelkich potrzeb społeczeństwa i domowe gospodarstwo kobiety musiało jednoczyć w sobie wiele rzemiosł rozmaitych i to nie mając do pomocy, tak, jak dziś, maszyn, i pracując narzędziami dalekimi od doskonałości. Aż niemal do naszych czasów wyrabiali się na krosnach domowych rozmaite samodziły na bieleżnę i powszedni użytek odzieży; spiżarnia, folwark, ogród, którym pani domu zarządzała naczelnie, dostarczały stołom głównego zapasu potrzebnych tu produktów; w domu sycono miody, wyrabiano octy, likwory, pędzono na domowych alembikach wódki, warzono piwa, zwane szlacheckimi, produkowano nawet perfumy, jak różane, lawendowe wody, i gospodarstwo kobiety zaspakało niemal zupełnie potrzeby rodziny, z czego ona czyniła sobie tytuł do chwały, którą dawało jej miano dobrej gospodyni.

I było to rzeczą słuszną, bo ta domowa praca kobiety stanowiła o dobrobycie i zarazem zamożności rodziny przez niedopuszczony wydatek, więc przez oszczędzenie grosza, który w skarbnice rodziny tej zostawał, a kobiecie, tak matce rodu, jak i córkom jego, nie brakowało nigdy pracy, jak się to dzieje obecnie, gdy przemysł fabryczny wystąpił do współzawodnictwa z przemysłem domowym, rugując go coraz więcej i osiągając korzyści dochodów, na które składają się wydatki rodzin, ubożających w stosunku wzrastającego dostatku sfer handlowo-przemysłowych. Wskutek tego—to położenia wytworzyła się kwestya pracy kobiecej, nieznana przeszłości. Córki tych rodzin średnio-zamożnych, których głównym kapitałem był zarobek ojca, i te inne, które mogły pracować za odpowiednim wynagrodzeniem w rodzinach majątniejszych, zaczęły spostrzegać, że nie mają co robić, odczuwając zarazem ciężkie braki tego bezrobocia, zła-

czone z boleśnie przygniatającem uczuciem, że są niepotrzebne nikomu,—parze jakieś wśród ludzkości, z której żywym ruchem pracy i jej zarobków, tak moralnych, jak materyalnych łączyć się nie mogą.

Że zapragnęły wyjść z tego upakarzającego położenia—że zapragnęły zdobyć sobie obok jakiego zaszczytniejszego stanowiska wśród społeczeństwa także i dobrobyt, przez pracę pozyskany,—jest rzeczą nietylko naturalną i godziwą, ale nawet jedyną tak postępującym szacunek i sympatią ludzką. Czy przecież skutek odpowiedział oczekiwaniu i spełnił w odpowiedniej mierze nadzieję tych zwłaszcza robotnic naszych z klas wykształconych, które zapragnęły na wzór zagranicy, szczególnie Francji, szukać sobie pracy i zarobku w rzemiosłach, u nas poniekąd nowych, z zakresu sztuki stosowanej do przemysłu? Kobiety młode zaczęły licznie uczęszczać do szkół przemysłowo-artystycznych; czy przecież niezamężne i pracy na zarobek dla utrzymania się potrzebujące, mogą znaleźć tu dostateczne i prawdziwie w kierunku obranym uzdalniające je wykształcenie, a obok tego, czy liczniejszy zastęp pracownic takich, nawet najlepiej zadanemu swemu odpowiadających, zdoła wobec ekonomicznych stosunków naszych znaleźć dla wyrobów pracy swojej zbyt odpowiedni, i czy wszystkie te rzeźby i wypalania na drzewie, malowania na porcelanie, szkłe, atlasie, których okazy przedstawiają się bez końca na wszystkich wystawach naszych, dają robotnikom zysk odpowiedni, mogący zapewnić im utrzymanie?

Czy i szkół takich nie jest w Warszawie, jak na stosunki nasze, zawiele i czy wszystkim można przyznać tę zasługę, że dają uczennicom swoim takie przygotowanie do obranej pracy, aby mogły oprzeć na niej przyszłość, jako na zawodzie chlebobajnym? Koronkarstwo znalazło się w warunkach szczęśliwszych: dwie szkoły war-

szawskie czysto filantropijne zacnych pań: Heleny Gabryelowej i Stroniskiej z Janowskich, wprowadziły je na dział pracy kobiet naszych, a chociaż wśród niebogatego społeczeństwa przemysł ten nie może rozwinąć się na wielką skalę, już będzie zyskiem, jeżeli da zajęcie pewnej liczbie kobiet i zatamuje dżóz zagraniczny. Zawsze przecież u końca rachunku widzimy, że kobieta z klas wykształconych nie ma do wyboru, tak, jak na Zachodzie, wielu gałęzi pracy na zarobek — nie ma dla tej pracy pola z horyzontem rozległym a tak liczne, tak liczne są zastępy, potrzebujących tego!.. Wprawdzie doliczyć tu jeszcze trzeba obok nauczycielstwa i zawód lekański, w którym kobieta pracować może z korzyścią dla siebie i społeczeństwa, jakkolwiek należy jej ograniczyć się do leczenia wyłącznie kobiet i dzieci. Na tle idealnego obrazu życzeń moich dla przyszłości pracy kobiecej przedstawia mi się w każdej wsi parafialnej taki doktor-kobieta, która nie tylko leczy, ale rozjaśnia pojęcia kobiet wiejskich pod względem higienicznych warunków życia rodziny, w siostrzanej przyjaźni z ochraniarką zostając, użycza jej coś wiadomości posiadanych a tak potrzebnych tamtej, aby dobrze wywiązała się z obowiązku swojego, który nakazuje inaczej traktować nauczanie dziecka zdrowego, rozkwitającego bujną czerstwością młodego życia, a inaczej biednej, limfatycznej istoty, lęklivej i ociężałej.

Praca kobiet w literaturze i sztuce właściwej zaliczać się tu nie daje do kategorii żadnej, bo talent jest obdarowaniem z Bożej łaski, którego nikt zdobyć sobie nie może pracą żadną, jakkolwiek praca, bo nauka, podeprzeć go potrzebuje. Bez tego — bez odpowiedniego wykształcenia w zawodzie swoim, bez wyrobienia umysłu, którego poglądy, rozszerzając się wtedy i podnosząc, artyzm nasz uszlachetniają i wyższego piękna szukać mu kaza, żaden talent nie dosięgnie podnioslejszych sfer twórczości i nie zaskarbi sobie zasługi pociągania za sobą serc i umysłów. Dla tego-to niejedna zapowiedź talentu nie dotrzymała obietnicy, stając się zawodem okrutnym, łamiącym wykołejone, z przeznaczeniem swoim mijające się istnienie.

Wyrobienie sobie drogi zbytu poza granicami kraju dla nowych, na wzór społeczeństw zachodnich podjętych zawodów pracy kobiecej, zwłaszcza przemysłowo-artystycznej, mogłoby jedynie podnieść i dać jej zastosowanie o tyle szersze, aby się oprzeć na niej mogło nie kilka, lub kilkanaście, czy nawet kilkadziesiąt jednostek; obecnie przecież, według mego przekonania, nie nowych dróg dla pracy tej szukać należy, ale raczej w tył poza siebie się obejrzeć i od matek, od babek, prababek naszych wzór sobie biorąc, gospodarstwo domowe tak urządzić, aby w możliwy sposób potrzebom rodziny zadosyć czyniło — aby wszystko, co tylko można w domu było robionem, lecz nie według dawnego, kosztownego zachodu — nie płatniami rękami sług i najemnic, ale rękami matki rodziny i jej córek, których życie, przy najmożliwszej i bogdaj najcięższej pracy u domowego ogniska, jeszcze szczęśliwszem i naturalniej według potrzeb istnienia niewieściego pędzonem będzie, niż wtedy, gdy, z rodziny się wydzieliwszy, muszą samotnie i mozolnie, zdala od domu zarobku sobie szukać, przyjmując go często na warunkach, wobec których najprostszą pracą w rodzinie jeszcze jest szczęściem i dobrobytem. Pismo nasze w pierwszej do czytelników wstępu odezwię nazwało kobietę podskarbiną chleba w społeczeństwie swoim — i tak jest niewątpliwie: niechże więc tego chleba — mienia rodziny, strzeże ona jak duszy własnej; niech z domu swego czyni pod względem ekonomicznym warownią mocną, gdzieby żaden kosztowniejszy wykwint przystępu nie miał, gdzieby przemysł domowy od wydatków strzegł i grosz w kalecie rodzinnej zachowując, na starym gruncie, gdzie jest potrzebną i użyteczną siłą, utrzymać jej się pozwolił!

Pojęcie biedy, niedostatku jest względne i trzeba nam dobrze, na znajomości rzeczy oparte porównanie położenia życiowych sobie przeprowadzić, zanim się puścimy na niepewne losy powierzchnie tylko znanego nam istnienia, a nie

będzie to również zacołaniem, nie będzie to dżódem zastoju pojęć, jeżeliby kobieta, wracając do starego trybu gospodarowania, rękodzielną domowym potrzeby rodziny zaspakajać kazała. Produkcja taka okazałaby się niewątpliwie droższą i niepraktyczną, gdyby na rynek handlowy do współzawodnictwa z wyrobami fabrycznymi wystąpiła, ale jakżeż korzystniej gospodyni domu i kobiety jej rodziny czas swój pod względem zarobkowym zużytkują?

Niemka w rodzinach, tak wyższego mieszczaństwa, jak i właścicieli ziemskich, dotychczas tak postępuje z dobrym, jak widzimy, skutkiem ekonomicznym, a obok tego bynajmniej ciemną i nieoświeconą, nie jest; w literaturze niemieckiej wiele kobiet wysokie stanowisko zajęło; wiele ich, związanych przyjaźnią z poetami, filozofami swego kraju, historyczną pamięć sobie zapewniło pod nazwą *pięknych duchów*. Ale nie szukając przykładu u obcych, obróćmy się po radę i natchnienie do własnego serca i rozumu, zapytując: czy nie lepiej u ogniska domowego, wśród drogiej sobie osób i pamiątek rodzinnych wśród stosunków przyjaznych, choćby najciężej pracować, niż na niepewną łaskę losu się zdając, cisnąć się do przepełnionego już szeregu robotnic na chleb powszedni, i to nie zbadawszy uprzednio, zali wyroby pracy naszej znajdą sobie odbyty dostateczny i w produkcji krajowej jakieś poważniejsze stanowisko zajmując, pokryją tak nakład czasu i pracy tułożonej, aby stać się mogły środkiem utrzymania robotnicy?

Z wielkich własności choć mniejsze udziały sobie zostawiać, wśród znanych stosunków i ludzi pracowicie, oszczędnie, racjonalnie gospodarować, choćby do gorącego znoju na czoło, i być przytem iskierką oświaty, cywilizacji, kultury wyższej dla otoczenia swojego — to jeszcze nie bieda, nie upadek, uczuciem poniżenia przygniatający, i kobieta w warunkach takich z młodemi córkami postawiona, ma pole pracy pod względem wszelakim stokroć wdzięczniejszej i opłacającej się lepiej, niż to być może na bruku miejskim, gdzie wszystko musi się dla niej okazać obcem i gdzie miejsce sobie wyrabiać nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, a jakże często dla nadziei zdaleka tworzonych zawodną! Stary myt Anteusza to wielka przestroga, to głębokiej mądrości dla nas nauka.

M. Ilnicka.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dokończenie).

— Z waszej łaski, — krzychał, zapieniony — okradliście mnie!... tak jest, okradli, ograbili ze wszystkiego, zostawili na bruku!... ja wam tego nigdy nie wybaczę. Rozbój!... złodziejstwo!... ja przed całym światem to powiem. Jak ty śmiesz przychodzić do mnie z taką propozycją?.. to jest bezczelne! Powiedz staremu, że jeżeli mnie zechce widzieć przed śmiercią, to nie ja do niego, ale on do mnie przyjdzie, odda mi, co mi się należy, wróci mi moję część, moje stanowisko, mój honor, a wtedy dopiero pogadamy.

Piana osiadła mu na ustach, oczy ciskały błyskawice, zębami zgrzytał; w gwałtownym uniesieniu przestał panować nad sobą, stracił całą rozwagę i pamięć, wierzył sam we wszystkie zarzuty i pretensje, któremi ciskał bratu w twarz, i gotów był w tej chwili dać się posiekać, a nie ustąpić.

Sama żółć i gorycz wylewała się z jego serca, oslepiła go i dławila. Obwinał ojca, brata,

świat cały o swój los, o swój upadek, swoje nie-szczęście, byłby gryzł i szarpał, wybuchnąwszy tłumioną tak długo wściekłością.

Natura gwałtowna ojca w nim się odzywała, tylko niepołamowana niczem, nieokiełzana i niesprawiedliwa.

Krzyś z politowaniem patrzył na niego i boleśnie głową kiwał.

To była zapłata za jego najlepsze chęci i dobre serce. Przekonywał się, że nie znał brata i zawiódł się na nim jeszcze raz, ale już po raz ostatni.

Nie próbował nawet odpowiadać na jego obelgi, wstał i spokojnym, choć drżącym głosem rzekł:

— Ha, widzę, że się już nigdy ze sobą nie zrozumimy. Zostańże przy swoim, — Bóg z tobą! Pamiętaj, żebyś tego tylko kiedyś gorzko nie pożałował!

Skierował się ku drzwiom, nie podawszy mu więcej ręki.

— Odchodzę z żalem, mój drogi, że się tak znowu rozstajemy.

Kiedy był już we drzwiach, odwrócił się jeszcze raz ku Karolowi, ale ten cisnął za nim piorunującym spojrzeniem i brutalnie szepnął, krztusząc się kaszlem i zdławioną złością:

— A idź, idź na złamanie karku!..

Zadyszka przerwała mu skutkiem irytacji krótki oddech; początki astmy dokuczały mu już od pewnego czasu.

Lekarze niedarmo ostrzegali go przed stłuszczeniem serca, gdy tyć zaczynał, zalecając więcej ruchu; dzisiaj objawy przewidywanej choroby, w życiu ociężałym, becznym, nieregularnym występowały coraz wyraźniej, ale Karol nie zważał już na nie.

Żył przecież i tak tylko z dnia na dzień.

Ostatnia rozmowa z bratem bardzo bolesne i przykre pozostawiła na Krzysiu wrażenie; nie śmiał jej dosłownie powtórzyć Frani, ale z wyrazu jego twarzy poznała sama, że mu się jego poselstwo nie powiodło.

Pogładziła go ręką po zachmurzonym czole, jakby usunąć z niego chciała zmarszczki, i nie badając więcej, ucałowała swego pocziwego Krzysia ze słowami:

— Tyś mój, tyś mój Krzysiek najlepszy!..

Przygotowywana uroczystość udała się doskonale.

Pogodny, letni ranek, zgromadził całą fabrykę w odświętnych strojach; na dziedzińcu przed mieszkaniem Fattów, na ulicy roilo się od tłumy robotników. Wience, festony, chorągiewki — zdobiły fronton głównego budynku i pojedyncze pracownie. Zastawiano stoły pod gołym niebem, wytaczano beczki z piwem i wódką, krzątano się po wszystkich kątach; gwaru, ruchu i krętani było, jak w ulu.

W pośrodku dziedzińca wzniesiono olbrzymi transparent z portretem Wilhelma Fatta i dewizą fabryki: „Bogiem a pracą“.

Po wotywie w kościele cały orszak skierował się z powrotem; na czele szło dwóch najstarszych, posiwiałych majstrów fabrycznych i niosło z wielką powagą i ostrożnością Krzyska i Frankę w poduszkach z białymi kapami, a przy nich postępowali młodzi małżonkowie, z twarzą wypogodzoną, jaśniejącą dumą i szczęściem. Za nimi zaś waliło kilkuset robotników, wesołych, jakby tryumfujących i rozradowanych aktem, który się odbył w kościele. Ogólny nastrój był dziwnie podniosły i pogodny. Serca lgnęły ku sobie, razwraz ciśnięto się ku Frani i całowano ją po rękach, ściskano Krzysia, uśmiechano się pieszczotliwie ku dzieciom i przemawiano do nich, jakby byli dorosłymi osobami.

Dla starego Fatta wystawiono fotel na dziedzińcu pod płóciennym baldachimem, gdzie stał długi stół dla rodziny i zaproszonych gości.

Przy składaniu życzeń i podarunków, przyjmowaniu delegacji i wygłaszaniu mów prostych, nie uczonych, ale serdecznych i szczerych, stary szef firmy stał cały czas oparty jedną ręką o łaskę, drugą o poręcz fotela i dziękował pochylaniem głowy i słowami:

— Bóg zapłać, Bóg zapłać!..

Wzruszony był, ale poważny.

Obok niego kupiła się żona, córka, syn i synowa, stary Pęczyński w jakimś odwiecznym fraku i białej chustce na szyi, ważniejsi officialiści z uroczystymi minami, starzy kolledzy zawodowi i przedstawiciele mieszczaństwa, którzy przyszli złożyć życzenia jubilatu.

Najbardziej wzruszająca chwila była, kiedy uszykowane w szeregach dzieci z ochronki fabrycznej, śpiewając, obsypały kwiatami swojego dobroczyńcę i chlebobdawcę swych ojców, a na czele czteroletnia dziewczynka, dźwigając ogromny bukiet, wygłosiła swym cienkim głosem czterowiersz, wyrażający wdzięczność za opiekę i życzenia dla całej rodziny jubilata.

Stary Fatt pochylił się i ucałował w główkę maleńką oratorkę, a do reszty dzieci odezwał się głośno:

— Dziękuję wam, moje dziatki, rośnijcie zdrowe i dobre!..

Po tych owacyach rozpoczęła się uczta; przy stołach dwoma szeregami zasiedli robotnicy, officialiści fabryki, goście zaproszeni; atmosferę nappełnił brzęk szklanek, talerzy, gwar zmieszanej rozmowy, śmiechów, toastów, rosnącej z każdą chwilą wesołości.

Pośród stołów krzątała się cała rodzina jubilata: Liza z Pęczyńskimi zajęła się dziećmi, zebranymi na drugim podwórku. Błada jej twarzyczka nabrała rumieńców i uśmiechała się nieustannie. Obok niej kręcił się, jak nieodstępny cień, tensam smukły blondyn, który na ślubie Krzysia wyprowadzał ją pod ramię z kościoła; był to pierwszy mechanik fabryki, od półtora roku dopiero pracujący w firmie Wilhelma Fatta...

Można było uważać, że jest dla niego szczególniej uprzejmą i łaskawą.

Do późnej nocy przeciągnęła się zabawa na dziedzińcu fabrycznym, który pławił się w blaskach kagańców, ogni bengalskich i świateł pozapalanych.

Stary Fatt o zmroku cofnął się do kantoru i, usiadłszy przy otwartym oknie, przypatrywał się temu ruchliwemu mrowisku, pośród którego rozochoceni biesiadnicy obnosili po raz dwudziesty Krzysia i Pęczyńskiego na rękach.

Pomimo znużenia wrażeniami i wysiłkami całego dnia, czuł się dziś zdrowym i rzeświejszym, niż kiedykolwiek; od czasu do czasu tylko głowa spadała na piersi i jakiś przelotny cień zwichrzonych jego brwi przemyskał mu po czole.

Przypominał sobie zapewne wtedy podobną uroczystość przed dziesięciu laty, kiedy oddawał fabrykę i firmę swemu starszemu synowi.

A dziś...

Jakby pilnując sam siebie, by nie zdradzić tej przykrej myśli, która przybiegała mu mącić radość najpiękniejszego dnia u schyłku życia, podnosił natychmiast głowę i oczy jego padały na go rejący światłem transparent z dewizą: „Bogiem a pracą“...

Cichy, głęboki smutek ocieniał jednak coraz więcej jego bruzdami porytą twarz, im bardziej dokoła niego wrzała wesołość i zabawa.

*

*

*

Szarzejący ranek powlekał matowym, bladym odbłaskiem ściany kamienie i opustoszałe jeszcze bruki uliczne; zdaleka czasem dochodził turkot leniwie wlokącej się dorożki wśród sennej ciszy letniego świtania.

Zdawało się, że w powietrzu słychać głęboki, znużony oddech śpiącego miasta, który przedostawał się zpoza murów milezających, okien i bram zamkniętych, pospuszczanych żaluzji, z podziemi i poddaszy.

Pogaszone latarnie sterczały smutno w jednostajnych szeregach i rzucały się w oczy samotnemu, zapóźnionemu przechodniowi, który wracał o tej porze do domu.

Środkiem ulicy piętrzyły się kupy żółtej gliny, piasku i kamieni wydobytych z rozpruwanego bruku przy robotach kanalizacyjnych; w głębokim szachcie z desek i bali odzywały się jedynie ślady życia i nocnej pracy robotników, zajętych pompowaniem wody z wykopów, która z miarowym pluskiem wylewała się na ziemię.

Wzdłuż tych wałów szedł chodnikiem mężczyzna w kapeluszu na tył głowy nasuniętym, w rozpiętym surducie i kamizelce, z rękoma założonymi, w których trzymał laskę; szedł powoli, całym ciężarem ciała przechylając się z jednej nogi na drugą krokiem człowieka, któremu nigdzie się nie spieszy i wszystko jedno, kiedy dojdzie do domu.

Oczy miał spuszczone i apatycznie patrzył na fizy chodnika. Od czasu do czasu przystawał, jakby zapominał machinalnie stawiać nogi przed siebie, odwracał głowę i przenosił oczy z bruku na kupy gliny i kamieni, lub wpatrywał się w otwartą czeluść kopanego kanału.

Tymsamym krokiem sennego włóczęgi o tej mniej więcej porze można go było widzieć idącego codziennie tą ulicą.

Szedł zamyślony, obojętny, pogrążony w jakieś duchowej nicości.

U jednej z pomp zatrzymał się bezwiednie i tym szklanym okiem bez wyrazu przypatrywał się młodemu robotnikowi z twarzą skończonego urwisa, którego ostatnia konieczność zmusiła tylko do jęcia się pracy dla zarobku.

Nie zważał, że ten robotnik zajęty przy pompowaniu wody wpatruje się również w niego z jakimś cynicznym uśmiechem i jakby dawny znajomy kiwa ku niemu głową powtarzając.

— Dzień dobry panu Dyrektorowi... Pan dyrektor mnie nie poznaje?... o, i pan dyrektor się zmienił, ho-ho!.. gdybym nie wiedział, że to sam pan dyrektor, nie byłbym pana dyrektora poznał wcale.

„Pan dyrektor“ z wysiłkiem starał się zrozumieć co do niego mówiono i rozpoznać rysy robotnika, który go zaczepił.

— Zkądże ty mnie znasz?—spytał po chwili.

— A cóż to ja nie służyłem u pana dyrektora w fabryce?—przecież ja jestem Jasiek, co to biegał za posyłkami w kantorze—pamięta pan dyrektor?...

Twarz mężczyzny drgnęła i, wykrzywiła się jakimś przykrym grymasem.

Kiwnął mu potakująco głową i jakby go raził widok obdartusa, który mu się z dawnych lat przypominał, cofnął się szybko od nasypu i poszedł. Kilka razy machinalnie jednak odwrócił się ku niemu, jakby się obawiał, czy nie usłyszy za sobą znowu jego głosu.

— Wiesz ty kto to taki?—zagadnął pompujący łobuz swojego towarzysza — to młody Fatt, wiesz?... z tych Fattów, co to mają fabrykę. Przepuścił jucha miliony, a teraz bruki zbija i palce liże. Ale kiedy jeszcze miał grosze, to ci warto było u niego służyć!..

— A cóż on teraz taki marny?

— Bo bankrut; musi być strasznie krucho z nim.

— To możeby się najał do pompowania z nami?..

— Także! zachciałeś! gdzie tam takiemu do pracy.

Roześmieli się obaj szyderczo i, splunawszy w dłonie, wzięli się znowu do przerwanej roboty. a chodnikiem szedł dalej „pan dyrektor“ ku domowi krokiem sennego włóczęgi i ziewał...

K O N I E C.

WALKA TYTANÓW

przez

J. Nitowskiego.

Uwaga: W poemacie *Walka tytanów* w № 33-cim na str. 261-ej w łamie 3-m po wierszu ósmym od końca (Chór Dzieci Nocy: „Zeus żyje, póty nasze panowanie“) wskutek pomyłki przy

łamaniu kolumn opuszczono cały ustęp, który tutaj, dla całości wraz z wydrukowanym już dalszym ciągiem poematu, podajemy:

Chór Dzieci Nocy.

Dzielić się władzą! A któż się nią dzieli,
Gdy całą w rękę swych utrzymać może?
Nie, nas nie złowisz na słowa, tytanie;
My wiemy dobrze, że tylko dopóki
Zeus żyje, póty nasze panowanie.

Kronos.

O, nędzni!

Chór Dzieci Nocy.

Cicho, milcz! Wszak nie wiesz może,
Że my cię stracić w Tartaru otchłanie
Na wiekiuistych strasznych cierpień łożę
Jesteśmy mocni?

Kronos.

Wiem i przekłętą
W oczy wam rzucam i brzydzę się wami!

Chór Dzieci Nocy.

Dalej na Olimp, nową nieśmy wieść;
Niech wobec Zeusa nikt się nie splami!
Tytanów gnieść, tytanów gnieść!

(Odlatują).

Kronos (sam).

Straszliwy ciężar na swych barkach dźwigam.
Mdleję odżywam i znowu umieram,
Nadzieją pałam, słabnę i ostygam,
I ciągle oczy zamglone otwieram,
I w niebo patrzę. Szukam siły w niebie,
Szukam jednego nowego nadziei
Promienia; patrzę, szukam wokoło siebie:
Mijają chwile, lata po kolei,
A wszystkie z piętnem żałoby na czole.
Ciemność wokoło i niebo się chmurzy,
Tylko tron Zeusa jaśnieje tam zdale.
Gdy patrzę na to, krew w żyłach się burzy,
Zemsta istotę mą nawskroś przepala.
Ha, ty tam rządysz, potęgo jedyna,
Zeusie, na którym ciąży klątwa ziemi,
Którego każde stworzenie przeklina,
Nawet bezduszne, martwe, dzikie skały
Szepcą ci klątwę ustami drżącemi.
Zeusie, na chwilę rzuć Olimpu szczyty
I tu spójrz mi oko w oko,
Tutaj się ukaż przede mną!
Chcę widzieć rysy twojego oblicza.
Chcę widzieć, zali głęboko
Wzarała się w serce twe chęć panowania;
Chcę widzieć na twojej twarzy
Głębokie bruzdy poryte,
Którymi każde panowanie darzy
Tych, co ster władzy trzymają.
Chcę na twem czole widzieć blask miłości,
Którą stworzenia podległego stanu
Zwykły poddańczo otaczać swych panów;
Chcę w twej postawie, w każdym twoim ruchu
Dojrzeć tej siły, co ci władzę dała
Nad światem całym, — tylko nie nad nami.
Chcę wiedzieć, czyliś posiadał własnym męstwem
Tron na Olimpie, czy tylko podłością.
Ukaż się, Zeusie potężny i wielki!
Słyszysz, ja, tytan, tutaj na dole
Uragam twojej wszechmocy i siły,
I własne męki i bole.
Chociażem przecierpiał tyle,
Stokroć przenoszę
Nad wasze niebian rozkosze!

(W dali bije grom).

Ha, służę swego posyłasz na ziemię,
Aby dumnego rozbić tytana;
Sądziś, że wzrosłe w niewoli plemię
Twoich się gromów ulęknie!..
Zeusie, jeszcze nie strząskana

Pierś, co ducha wykarmiła;
Jeszcze matka ziemia żyje,
A dopóki żyje ona,
Żadna nie zgniecie nas siła.
Oto moja pierś zraniona:
Bij w nią, bij swojemi gromy!
Ja, tytan, nie lękam się ciebie,
Nie mnie przeznaczon zgon,
Chociaż żyję w poniewierce.
Tensam grom i mnie posłuży:
Gdy na Olimpu wdrę się szczyt,
Tym gromem strzaskam twój tron
I twoje serce!.....
I cóż ty, władzco i boże?
Milczysz? Gdzie twoja potęga?
Dokąd twoja wszechmoc sięga?
Piosnkami szczęścia brzmią Olimpu szczyty,
Chmury usłały ci łoża:
A ty spokojnie w chmurach spowity,
Spoczywasz na niem bez troski.
I tak gnuśniejiesz z dnia na dzień,
W boginiek kole pijąc nektar boski.
Inne jest nasze życie:
Gdy wy gnuśniejąc, Olimpijczycy,
O nowych zmysłów podrażnieniach śnicie,
My, w nieszczęście koło wpleceni,
Przez boleść nowe wywołuję siły,
Co Heliosowych lotem promieni
Twego dosięgną łożyska.
A w tem męczeństwie czy ty myślisz może,
Żeśmy niezdolni do rozkosznych marzeń?
I my marzymy, choć ból piersi ścisła!
Tylko wiedz o tem, wszechpotężny boże,
Że te marzenia i pragnienia nasze
Inne są wcale niż wasze.

Ukazują się Dzieci Nocy).

Chór Dzieci Nocy.

Z piorunem w dłoni, wśród chmur powodzi
Pan nasz, Zeus dobry, z Olimpu schodzi,
Majestatyczny, poważny i srogi,
Tak jak na władcę przystało.
Stworzenia podłe z drogi, precz z drogi!

(Odlatują.)

Kronos..

Czy znów grom ryknął, czy mi się tak zdało?

(Zeus ukazuje się przed nim).

Ktoś ty, o widmo?

Zeus.

Jam bóg.

Kronos.

Spójrz mi w twarz

Zeus.

A czy cię boga nie przestraszy wzrok?

Kronos.

Choćby grom wypadł z twojego spojrzenia,
Tytan się Zeusa nie ułęknie wzroku.

Zeus.

Nieszczęsny, chcesz mi stawić opór dłużej,
Szaloną walkę ciągnąć dalej jeszcze?

Kronos.

Tytan w połowie swej drogi nie stanie;
A choć się niebo naokoło chmurzy,
Serca Tytanów nie ogarnie trwoga.

Zeus.

I długoż walczyć tak będziesz, tytanie?

Kronos.

Dopóki jesteś; póki imię boga
Ku ziemi karki niewolników tłoczy.

Zeus.

Słuchaj! Zaprzestań walczyć; na Olimpie
Dam ci połowę tronu obok siebie;
Wszystkie rozkosze swego panowania,
Potęgę władzy mej z tobą podzielę;
Berło wszechmocy dzierżyć będziem społem,
Korzystać z tego, czem nas wszechmoc darzy;
W jednym ucztować siadziem bogiń kole,
I upojeni władzą i nektarem,
Grom postawiwszy u stóp swych na straży,
W spokoju prześnim długie szczęścia wieki,
W rozkoszach zgoła nie pragnąc niczego.

Kronos.

Straszny ten dla mnie, co żadnych żądz nie ma,
Co już niczego nigdy nie zapragnie,
Kto swe uczucia i swe namiętności
We własnej piersi pogrzebie.

Zeus.

Jakto, czyż miałbyś odrzucić tę władzę,
O którą walczysz? Nie pojmuję ciebie.

Kronos.

Dopiero wtedy władza w sobie mieści
Cały swój urok, gdy jest bez podziału;
Sam będę władał, choćbym siedł do tronu
Wpośród krwi morza i jęków boleści.

Zeus.

Cha, cha! Już teraz nie lękam się ciebie.

Kronos.

Złęknieś się wkrótce, o, złęknieś się, gdy cię
Tytan powita na Olimpu szczycie
I z rozkosznego snu nagle obudzi!

Zeus.

Otchłań Tartaru swą paszczę otwiera:
Leć w nią czempredziej, wyniosły tytanie!

Kronos.

Zawczasie witasz nadzieję zwycięstwa.

Zeus.

Spojrzyj wokoło i sięgnij swym wzrokiem
Do wnętrza wszystkich poddanych mi stworzeń.
A potem powiedz: kto z nas dwóch zwycięży?
Patrz: ten grom drżący, co skały rozbija,
U nóg mych wiję się jak podła żmija,
Czekając tylko mojego rozkazu.
Tam Dzieci Nocy przelatują tłumnie,
Piszcząc, ażeby, jak ogarów zgrają,
Puścił je prędzej na łup upatrzony.
Owdzie Sturęcy, bracia wasi, stoją,
Dziwiąc się waszej dumie, spoglądają
Na was łakomie. Zewsząd, z każdej strony
Tłum nieprzyjaciół tytanów okala.
Na kogoż liczyć więc możesz, szalony?
Może na tworów podlejszych czeredę,
Co jako płazy obsiadły tę ziemię,
Automatycznie nędzne wlokąc życie?
Spójrz w głąb' ich piersi, a poznasz odrazu,
Czem jest to straszne swą nicością plemię,
Którym ja dawno pogardzam.

Kronos.

A ziemia?

Ta jedna nie jest twoją niewolnicą.

Zeus.

Spójrz na sterczące we śnie skały tych czoła,
Na mórz bezwiednie burzące się fale;
Słuchaj, jak wicher tam w dali gdzieś jęczy,
Dla was o pomoc bezskutecznie woła;
Jak ziemia wycia wydaje szakale,
Jakby w uścisku żelaznych obręczy,
Westchnie, umilknie i westchnieniem znówu
Powietrze napelni dokoła!
Wobec sił wyższych i ziemia bezsilna.

Kronos.

Kto ci dał taką moc?

Zeus.

Ananke.

Kronos.

Jednak

Ja ciebie muszę zwyciężyć, wiesz o tem?
Muszę.

Zeus.

I ja tak sądziłem przed chwila
Dziś wszakże próżnej pozbyłem się trwogi.

(Znika. Bije grom).

Kronos.

Zniknął i z groźnym piorunu łoskotem
Zawarł za sobą Olimpu podwoje.
Tak zwykły czynić bogi.
Ananke! straszna, wszechświatowa siło,
Dozwól mi ujrzeć groźne lica twoje
I z nich wyczytać wyrok mej przyszłości.
Ja się nie lękam, cokolwiek się stanie;
Gdy jednak w piersi zwątpienie zagości
I zwolna straszne rozpoczyna konanie
Wszystkie wyległe w mem sercu nadzieje,
Wówczas straszliwe przechodzę katusze,
Bo w niepewności nieznośnej się chwieję.
Wolę odrazu wpaść w otchłań Tartaru,
Niż w niepewności przeżyć godzin kilka.
Ukaż się, siło, potęgę straszną.
Co nawet bogów trzymasz na łańcuchach!
W męczeństwie swoim tytan cię przyzywa
I błaga nawet!

(W chmurach ukazuje się Ananke).

Ananke.

Jestem.

Kronos.

Jaka mroczna

Twarz strasznego w powietrzu widziadła,
Owiniętego gęstą chmurą ciemną!
Jak we mgle, postać cała się rozplywa,
Jak gdyby w chmurach zapadła.
Znów się wynurza i staje przedemną:
Widzę twarz, widzę, ale na tej twarzy
Dojrzeć, wyczytać nie mogę nic zgoła,
Oprócz spokoju. Posągowo chłodne
Oblicze żadnych wielkich namiętności,
Żadnych gorących uczuć nie wyraża,
A blask Heliosa nie otacza czoła.
Ktoś ty, widziadło?

Ananke.

Duch.

Kronos.

Lecz taki obcy

Dla mnie.

Ananke.

Bom wyższy bez granic od ciebie.

Kronos.

Więc ty to jesteś wszechświata potęgą?
Nie, — mnie się zdaje, żeś ty chłodny taki:
Brak ci zapalu, co światy porusza,
Brak iskier bóstwa, co pożary nieca.
Nie taką winna być wszechrzeczy dusza.

Ananke.

A czy ty myślisz, że zapal, natchnienie
Zdolne są drogi wytykać wszechświatu
I wiecznie wprawiać w ruchy prawidłowe
Wszystkie wszechbytu sprężyny i koła?

Zapał, jak piorun, nagle z chmur wypada
I nagle piersi i serca zapala,
Całą istotę duchową przenika,
Jak jedna ognia zalewa ją fala, —
Lecz wkrótce również szybko jak grom gaśnie,
Nie będąc zdolnym wiecznie trwać i działać.

Kronos.

Jednak najbardziej w moc piorunu wierzę.

Ananke.

Którym, jak wszystkim, kieruję ja właśnie,
I tylko wtedy nim zapładniam chmury,
Gdy tego zajdzie potrzeba.

Kronos.

Niestety!

Więc tylko chłodny i nieubłagany
Rozum nad światem panuje?
Więc tylko rozum i niezłomna wola
Najwyższą w świecie jest siłą?

Ananke.

Nie. Sił hierarchia w nieskończoność idzie,
Jak wszystko, co jest.

Kronos.

Ach, niegdyś świeciło

Nad moją głową słońce! Gdzież dziś ono?
Czyż mam wiek spędzać w pogardzie, w ohydzie,
Z ciągłej umierać tęsknoty
I wiecznie myślać tą rozdzierać łono,
Że sił surowych łańcuch nieprzerwany
Jak węzłami otacza mnie sploty?
Że młodość, zapał, nawet miłość gaśnie
Wobec rozumu?

Ananke.

Miłość! O, szyderstwo!

I ty śmiesz mówić jeszcze o miłości,
Gdy w sercu twojem miłości brak właśnie,
Gdy duma tylko twe piersi rozsadza
I samolubstwo w niej gości?
Gdy nie nie kochasz, prócz samego siebie
I swoich marzeń wyniosłych,
Żadasz, by Zeusa na Olimpie władza
Twojej władzy tronu swego ustąpiła?
Jeżeli tyran tyrana pogrzebie,
Jakaż dla świata ztąd będzie wygrana?
Wiedz, że w przyszłości inna będzie siła,
Co Zeusa z tronu jego stracić zdoła;
To także będzie potęga tytana,
Tylko nie taka jak wasza, tytani.

Kronos.

Co mówisz?—Słyszę, jak Tartar mię wala.
Biada nam, bracia, o biada!

Ananke.

Wyście do takich zwyci ztzw nie wybrani;
Nie wam zwyciężać gwałt i przemoc dano.
Noc nie ustąpi przed nocą;
Tylko przed jasnym H-liosa blaskiem
Noc ustępuje corano.

(Znika.)

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD MALARSKI.

(Wystawa Towarzystwa Zachęty).

Zawitał na naszą wystawę dawno niewidziany gość: Alexander Gierymski. Od czasu wyjazdu artysty do Monachium pierwsza to jego ztamtąd

przesyłka, i to nie bylejaką, mieści się w niej bowiem aż sześć płócien odrazu.

Talent Gierymskiego zbyt już jest wyrażnie ukształtowany, byśmy mogli spodziewać się po nim niespodzianek. Nie szuka on nowych form i nowych środków, bo drogę swą znalazł oddawna i śmiało nią idzie do celu. Posiada już stanowisko w świecie wydatne i jasno określone i zniżyć go już nie może—choć mógłby podnieść...

Płótna obecnie nadesłane są przeważnie pejzażami. Jednakowe rozmiarem, bliźniaczo podobne sposobem traktowania, urodzone w jednej niemal dacie i odtwarzające tę samą górską przyrodę, są jakby rodzajem artystycznych „sześciopalców,” tworzących całość nierozdzieloną. Kogo stać na to, powinien je nabyć wszystkie, a za prawdę, ponętny to byłby nabytek...

W pierwszej chwili pejzaże Gierymskiego razią jakąś szorstkością i twardizną. Zieleń wydaje się w nich zbyt surową, obrysy kształtów zbyt silnymi; woda ma gęstość roztopionego ołowiu, a chmury ciężą ku ziemi, jak bałwany gipsowe. Ale to tylko złudzenie, wywołane złe wybranym punktem widzenia. Gierymski maluje dekoracyjnie: w odpowiednich też warunkach należy mu się przyglądać.

Posiada on nadto jedną jeszcze właściwość: jest szczerzy i nigdy naturze nie pochwlebia. Wynika ztąd zupełny na jego płótnach brak wymuskania i kolorystycznych efektów („smaczaków,” jak się mówi w gwarze pracownianej), do których przyzwyczaili nas inni pejzażyści. Wynika też ztąd i owa pozorna szorstkość, zrażająca doń estetycznych wykintniów.

Trzy płótna poświęcone są trzem różnym porom dnia. Tytuły ich: „Południe,” „Po południu,” „Pod wieczór.” Zdaje mi się, że najmniej wiernie odtwarza rzeczywistość pierwszy z nich. Sprawia on wrażenie, jakby go złożono z kilku części, o różnej porze malowanych. Jaskrawo oświetlony i aż biały strumień na pierwszym planie mówi nam o południowej spiece; mówi też o niej i mglista sylweta góry wylaniającej się, dzięki wielkiej przejrzystości powietrza, ze znacznego oddalenia; natomiast zamek na drugim planie i otaczające go drzewa są tak ciemne, jakby już sam zmrok wieczorny panował. Ale pominiawszy ów brak słoneczności, ileż na tem płótnie szczegółów mistrzowskich! Wszystko się tam wypukła, oddala, zagłębia, wszystko ma barwę właściwą i ustawione jest, nie w próżni, lecz w powietrzu. A powietrze w pejzażu gra rolę pierwszorzędną i rzeczby można, iż wegetacji malowanej jest równie potrzebne, jak żywej.

W obrazie „Po południu” przenosi nas artysta pomiędzy mury. Widzimy tu zaułek jakiegoś miasteczka staroniemieckiego, o wysokich, dzielnie ubarwionych domach, z wyskoczonymi gankami i nader wązkim przejściem. Więcej tu znacznie spieki słonecznej, niż na płótnie poprzednim. Słońce kładzie się na bruku smugą jaskrawą i rozgrzewa silnie pomarańczową barwę muru na pierwszym planie. Musi też tu panować skwar niezmierny, skoro w uliczce żywej duszy nie widać.

Z innym zaułkiem tegoż samego miasteczka spotykamy się na płótnie zatytułowanym „Pod wieczór.” Barwy tu już przygasły, a chłodny zmierzch zalewa dolną część uliczki, niby duo górskiego wąwozu. Jednocześnie u góry, na szczytach domów, bieli się jeszcze światło dzienne, stłumione już jednak i bezsilne. Melancholia, właściwa takim miejscom i takim chwilom, owiewa piękne to płótno, które, prócz wybornie oddanego nastroju, posiada nadto wielkie zalety perspektywiczne. Wiadomo (choćby z obrazów, odtwarzających warszawskie Stare Miasto) jakim jest mistrzem Gierymski w malowaniu starej architektury, i z jakim talentem potrafi mozaikować pleśnią sędziwe domy, oraz kłaść na nich piętno archaiczności, odpowiadające owej „patynie,” którą wiek starym bronzom nadaje. Wszystko to odnajdzie widz na tym obrazku; spotka też bardzo piękny efekt świetlany, pod postacią wykreślającego się w głębi bardzo jasną plamą małego podwórka, do którego jeszcze światło dnia dochodzi.

Widok „Z nad Innu” odznacza się nastrojem ponurym, pół dzikim. O brzeg rozbijają się fale

ciemno-stalowe, wytwarzając gęstą białą pianę. W głębi widać góry, świerkami obrosłe, którym oddalenie nadaje dziwną, ciemno-granatową barwę, gdzieś zielonemi smugami rozjaśnioną. Chmurne niebo cięży nad górami, dostrajając się do tragicznego tonu całości.

Pejzaż „Z Tyrolu” jest nieco za twardy i za czarny. Znać tu, jeśli nie manierę, to przynajmniej wybitną właściwość artysty, który silnymi kontrastami cieniów i światła zwykł wywoływać złudzenie wypukłości i oddalenia. Dzięki temu, płot, na przykład, żerdziany na pierwszym planie posiada wyrazistość niemal rzeźbiarską, a łąka obłana światłem słonecznym nader silnie odrzyna się od dalszej przestrzeni, którą omroczył cień chmury.

Inny widok tyrolski („Z Rattenberga”) posiada za tło granatowy szaniec gór, od których odskakuje z niezwykłą plastyką kościółek wiejski o smukłej wieżyczce i domki niskie, tulące się do niego. Na pierwszym planie rozkłada się łąka, której zieloność, nawet jak na łąkę tyrolską, wydaje mi się nazbyt krzykliwą...

Na ostatnim płótnie zwraca uwagę pewien szczegół techniczny, nie poraz pierwszy zresztą spotykany u Gierymskiego. Oto blaszany a ciemny szczyt wieżyczki, któremu artysta usiłował nadać szczególną wypukłość i za jakąbądź cenę „wydobyć go” (jak się pomalarsku mówi) z ciemnego również otoczenia, przypomina sposobem wykonania już nie malowanie olejne, lecz emalię. W podobny sposób emaliowaną wodę widzieliśmy dawniej na innym obrazie Gierymskiego („Święto Trąbek”). Grubo kładziona i wyrównywana szpachlą, farba tworzyła tam półcałową blisko warstwę, gładką i lśniącą. W imię zasady „cel usprawiedliwia środki” można rozgrzeszyć artystę z tego posilkowania się „sztuczkami,” pozostawianiem zwykle malarzom niższego nastroju, polującym na efekt i olśnienie pospolitego widza; niepodobna jednak tego wyjątku podnosić do znaczenia reguły. Mówią o Corot’cie, że gdy opanował podobną gorączką naśladowania natury malował piaszczyste wybrzeże morskie, dosypywał do farby—piasku... Czy to podniosło artystyczną wartość obrazu? Wątpimy.

Cokolwiekby, śliczną i cenną całość tworzy ta szóstka pejzażowa, która nie będzie chyba zbyt długo czekała na nabywcę. Świadczy ona, że Gierymski, czy przebywa nad Wisłą, czy nad Tybrem lub Izarą, jest wszędzie sobą i czegokolwiek dotknie, na wszystko rzuca promień swego talentu i swojej duszy. Przyroda jest zawsze na jego płótnach poważna i silna; nie mizdrzy się i nie muska, nie występuje też nigdy w sztucznych zabarwieniach impresjonizmu, który lasy, pola i łąki oświećlać zwykł—ogniem bengalskim.

Gierymski jest typem artysty szczerzego i miłującego sztukę dla sztuki. Nie czyni on nigdy ustępstw najmniejszych na rzecz pospolitych upolowań tłumów i zdaje się równie mało dbać o okłask, jak o zyski na obrazach. Tworzy dla rozkoszy tworzenia. Rozkochany w przyrodzie, podpatruje cuda jej wszędzie, gdzie tylko się objawia. Pokazał już nam fiziognomię duchową pejzażu włoskiego, hollenderskiego i tyrolskiego; pokazał też nam właściwy pejzaż warszawski, na który składa się mur odrapany, suchotnicza akacja, parę odartych z kory topoli, mostek zapadnięty, rozbita latarnia, a ponad wszystkim: — zwieszające się nisko, szare, zadymione niebo.

Dopiero dzięki Gierymskiemu dowiedzieliśmy się jak wygląda Warszawa i na czem polega odrębny rodzaj jej piękności. Dopiero jego wyborne szkice, w ilustracjach warszawskich pomieszczane, otworzyły oczy spostrzegaczom powierzchniowym na malarską wartość Starego Miasta, uliczek nadwiślańskich i fabrycznych przedmieść. Ale żadna coraz nowych podniet wrażliwość artysty uczuła się tu rychło nasyconą i, aby jej dać świeżą strawę, wyruszył on znowu, poraz niewiadomo już który, na tułaczkę po Europie. A że każda taka tułaczka nowy plon sztuce polskiej przynosi, więc tylko cieszyć się z ruchliwości artysty wypada.

Z zupełnie innym rodzajem pejzażu i pejzażyści spotykamy się na płótnie Świeszewskiego, przedstawiającem „Czarny Staw w Tatrach”.

Świeszewski to również pierwszorzędnym malarz przyrody, ale traktujący ją w stylu, rzecz-by można, wczorajszym. Jego pejzaże tak się mają do pejzażów Gieryskiego, jak pudrowana margrabina do kobiety prostej, ale zdrowej i urodziwej. Maluje on, niestety, nazbyt ładnie, i nawet temu, co w naturze jest szorstkie i brutalne, nadaje formy wytworne. Pieści się ze swymi obrazami i prawie wszystkie—przemalowywa...

Wiadomo jak ważną jest rzeczą dla piszących wiedzieć, kiedy należy zaprzestać poprawiania utworu literackiego, aby go nie uczynić zbyt wygładzonym a przez to pospolitym. Nierównie ważniejszą jest w malarstwie umiejętność odjęcia w porę pędzla od płótna.

Świeszewski należy do rzędu artystów, którym obraz nie wydaje się nigdy dostatecznie wykonczonym. Zawsze znajdują oni coś do poprawienia, do zmienienia, do przerobienia — i nie czują, jak to nieustanne wygładzanie zaciera z wolna wszystkie rysy prawdziwe, szorstkie może, ale które stanowią właśnie siłę i wartość obrazu. Twarda i wyrazista powierzchnia przyrody pod ich pedantycznym pędzlem nabiera trywialnego poloru, jaki nadają marmurom kościelnym dotknięcia licznych pobożnych.

Sztuka polska zawdzięcza Świeszewskiemu kilka przepięknych pejzaży, że przypominę tylko jakąś zatokę włoską z rozczernwionymi od zachodzącego słońca skałami, „Noc zimową w lesie” oraz „Zachód słońca nad moczarami.” Wszystkie te dzieła pokazują nam przyrodę odświętną, uroczystą, wytworną. Prawda, że bywa ona taką niekiedy, na codzień jednak ubiera się inaczej...

Świeszewski, jako pejzażysta, stoi w jednym rzędzie z Ajwazowskim, u którego nawet burze morskie miewają wdzięk budoarowy. Pewna, dość nawet liczna, sfera widzów lubuje się tą słodkawością; krytyka jednak musi w niej widzieć, jeśli nie wadę, to przynajmniej nużącą jednostronność.

Wypływa też ztąd zupełny zanik w pejzażach ich typowej odrębności. I w istocie: u Świeszewskiego pejzaż alpejski niczem się prawie nie odróżnia od apenińskiego i karpackiego; wszystkie one pociągnięte są tym samym werniksem, pod którym, jak pod maską, nikną rysy prawdziwe.

„Czarny Staw” nader blado odtwarza przyrodę Karpat. Góry te nie są anitak wymuskane, ani też nie pokrywa ich tak cieplarniana flora, możliwa chyba tylko na jakichś zacisznych stokach alpejskich. Trudno też uwierzyć, aby w naturze woda górskiego stawu mogła mieć taki odcień tęczy, jakim ją artysta na obrazie przystroił.

A przymiem to drobniagowe wykonczenie każdego kamyka i kamuszcza, każdego krzaczka i krzaczeczka, nie przyczynia się bynajmniej do podniesienia siły obrazu; przeciwnie: w wysokim stopniu ją osłabia. Pejzaż, w którym zacierane są skrupulatnie wszelkie energiczne dotknięcia pędzla, nabiera mimowoli znamion oleodrukowych i z dzieła ręki ludzkiej zmienia się na robotę fabryczną. Jeżeli artysta nie widzi tego i nie uznaje, tem gorzej dla niego.

Poświęcając cały ten przegląd pejzażom, wspomnieć muszę jeszcze o bardzo miłych i smacznie malowanych a bezpretensjonalnych obrazkach p. Klopfera. Skromny to pracownik, ale sumienny i uzdolniony. Nie rwie się on do pierwszych rzędów, chowa się skromnie na uboczu, ale pracami swymi, acz drobnymi, stwierdza, że poważnie traktuje zawód pejzażysty a naturę kocha i rozumie.

P. Klopfer wystawia obecnie dwa obrazki: „Noc na Wiśle pod Warszawą” i „Widok z okolic Strzegowa”. Pierwszy z nich jest trochę dekoracyjny i manierowany, drugi za to stanowi bardzo ładną i świeżą idyllę pejzażową. Ta ustrona sielankowa w gaju nad strumieniem technicznie niewymownym urokiem ciszy i poezji. Woda, wybornie malowana, posiada przejrzystość i połysk; zieleni drzew i ziół świeża jest i soczysta; po całym obrazku nareszcie rozlewa się chłód przyjemny i wilgoć. Jest to bardzo

poetna karta z księgi przyrody, do której artysta częściej powinien zaglądać...

Wiktor Gomulicki.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż d. 1-go Sierpnia 1890 r.

Dziwny stan atmosfery.—Niema tego złego, co by nie wyszło na lepsze —Cudzoziemcy w Paryżu.—Historia o grającym Polaku.—Dobroczynność administracyjna.—Bieda i jej straszliwe skutki.—Tragiczna śmierć całej rodziny Hayen.—Źródło i następstwa tego stanu rzeczy.—Środki ochronne.—Święto narodowe 14 Lipca.—Rewie.—Nowe ćwiczenia.—Jak się przedstawia dziś wojsko francuskie.—Powrót lata.—Koniec roku szkolnego.—Wakacje.—Ruch emigracyjny Paryżanów—Nowa reforma uniwersytecka.—Minister oświaty.—Zniesienie stopni bakałarskich.—Znaczenie tej reformy.—Fakultet medyczny Paryżki.—Cztery nowe lekarki.—Panna Mendelsohn w Warszawie.—Nowy spacer konno w Warszawie do Paryża, pana Garczyńskiego.—Nowy tom powieści „Ames Slaves” Pami Toli Dorian.—Lodomeryjskie Amazonki i piorunująca filippika pani Seweryny.

Widocznie zanoszą się na to, że w tym roku Paryż lata miłe nie będzie! Wszak oto jesteśmy w sławnych dniach kanikuły, a nasze słońce, blade i zamglone, świeci wprawdzie, ale nie grzeje. Częste deszcze i wiatr zachodnio-północny, jakby w późnej panują jesieni i nie pozwalają ani myśleć o tem, żeśmy tu przecie w kraju, gdzie i cytryna kwitnie i dojrzewa doskonały winogrod.

Może to nam zresztą wyjdzie na lepsze — bo wśród tej straszliwej aglomeracji, przy wielkich upałach, zawsze się można spodziewać jakiegoś licha. Oto w Hiszpanii w jednej z najniższych i najpiękniejszych okolic, w Walencji, cholera grasuje *powoli*—powoli zapewne, ale gdy się podsummuje całość po pewnym czasie, ma to dość wybitne znaczenie. Chodźmy więc ciągle jeszcze w kożuchu i wyznajmy z Lafontainem, że: „Dieu fait bien, ce qu'il fait, sans en chercher la cause” i t. d.

Ta termometryczna zniżka zatrzymuje dotychczas w murach Paryża wielu z tych ludzi, co zwykli szukać, to słońca, to cienia, w dalekich, dalekich stronach. Mnóstwo cudzoziemców gości tu zresztą z ochotą—tak, że Paryż ma wiecznie swoją świąteczną minę i bawi się lepiej, niż kiedy, i wyrzuca pieniądze.. przepraszam! — zbiera pieniądze, które inni wyrzucają przez otwarte okna.

Oto nam powiadają, że nasz pan polski—nie wierzę temu! — przegrał temi czasy w jednym z pierwszych klubów w Paryżu... trzykroć sto tysięcy! Jaki—jesteśmy jeszcze w stanie takie głupstwa robić,—i taką sumę puszczać na jedną kartę? kiedy na sprawę poważną, na sprawę biedy, nie można wydrzeć jednego tysiąca,—a nawet mniej, niż jednego tysiąca... To być nie może—*nego!* musi być omyłka druku co do narodowości tego ptaszka.

Ale kiedy rzecz idzie o biedę i o jedyny znany jej środek leczniczy—o, *Pecunia!*—pozwólcie, że wrócę tu do tematu, który tak dobrze rozwinął w jednym z ostatnich numerów *Bluszczu* mój szanowny kolega *Quis*—i dotknę tej sprawy miłosierdzia na żywym przykładzie.

Res sacra miser!—miał więc wielką słusność kolega *Quis* dać w swojej przedostatniej pogawędce tak wielkie miejsce wyciągom z francuskiego dzieła, Maxyma Ducampa, pod tytułem: *Dobroczynność prywatna w Paryżu*. Dobrze jest pokazać od czasu do czasu, jak tu rozumieją i praktykują dobroczynność ludzie oskarżani przecież tak często, i nie bez racji, o rozpustę i ślepą rozrzutność, bo tożda może powód do umiarkowania, choćby jednej głowy tych, co tak często u nas

silą się naśladować Paryżanów — niestety! nie najczystszej wody.

Zwracać uwagę, szczególnie na to, że większa część z tych zakładów dobroczynności, powstała z inicjatywy ludzi *ubogich*, ale energicznych i wytrwałych, z zakładowym kapitałem tak małym, iż u nas uważanoby za szaleństwo nieraz rozpoczynać dzieło miłosierdzia z taką blagą sumą,—ale które z biegiem czasu, przy *poparciu ogółu*, przy ofiarności ludzi dobrej woli, przy zaopiekowaniu się daną instytucją, zadziwiające osiągało rezultaty—pokazać to i wytłómaczyć, jest to dzieło dobrego obywatela!

Święte słowa twoje, panie kolego, i dlatego je przepisałem, bo należy ciągle na to nastawać, że: *concordia res parvae crescunt*, i że właśnie, takich zakładów wpływy są najważniejsze; bo ludzie, którzy stają na ich czele, zagrzani są prawdziwą miłością bliźniego, która-to miłość—jak wiecie — tworzy cuda i niebo otwiera na ziemi. Wielkie instytucje, niestety! są jak ule miodu pełne —jak mówi poeta o wielkich sercach—i stają się nieraz gniazdem robactwa.

Tak na przykład, tutejszy sławny zakład wspomożenia publicznego *de l'assistance publique* rozporządza milionami; a jeden jest głos, że rozporządza nimi niezdarnie. Zewsząd powstają głosy i powiadają nam, jakie są braki i niedostatki. Oto kilka dni temu, jak się odbywał w tej mierze, niepodejrzany o systematyczną niechęć, dziennik poważny, *Le Temps*:

„Czegoby nam potrzeba, to odwołania się do ludzi mających serce, tak licznych w każdej klasie społeczności paryżkiej; wezwać ich do utworzenia stowarzyszeń informacyjnych, działających w każdym rewirze i mających obowiązek wskazywać biurom dobroczynności ludzi prawdziwie godnych litości”.

„Informacji, informacji!”—oto jest głos powszechny — informacji, której nie da i dać nie może biuro, administracja, złożona z urzędników, którzy pilnują miejsca i porządku biura, a którym miłosierdzie, dobroczynność, miłość—są i zawsze będą obce. Oto najlepszy dowód:

D. 17 Lipca, przy ulicy Avron, na przedmieściu wschodniej części Paryża w jednym z tych uwierskich falansterów, jakich tu niemało, stało się straszliwe odkrycie.

Od roku pod tym adresem mieszkała w jednym pokoiku rodzina złożona z ośmiu osób: ojca, matki i sześciorga dzieci.

Ojciec, Leon Hayen, Izraelita, urodzony w mieście Lille i mający lat czterdzieści dwa, był rysownikiem z profesji; Matka, Marya Hayen, lat trzydzieści pięć wieku, Meksykanka rodem, była robotnicą najmowaną, do urządzania wewnętrznej gospodarki domowej,—co tu nazywają: „femme de ménage”.

Z sześciorga dzieci, dwie dziewczynki: Berta, miała lat piętnaście i Helena trzynaście; wreszcie czterech chłopców: Raul, lat dwanaście, Leon, lat dziesięć, Albert — sześć, i наконец, Paweł, niespełna rok jeden.

Od kilku już miesięcy Hayen i jego żona byli bez roboty, a więc bez sposobu zarobku. Cała rodzina literalnie umierała z głodu, nie mając w co się przyodziać; dzieci nie chodziły do szkoły i najczęściej po całych dniach zbijały baki na ulicach,—wreszcie winni już byli Hayenowie za dwa kwartały zaległego komornego i znajdowali się w przededniu ostatniej katastrofy: wyrzucenia z mieszkania!

D. 17 Lipca, zrana sąsiedzi mieszkania Hayenów, którzy od dwóch dni, będąc pod wpływem nieznośnego jakiegoś fetoru, szukali przyczyny, przekonali się wkrótce, że te okropne wyziewy pochodziły z pokoiku zamieszkanego przez rodzinę Hayenów. Wówczas dopiero przypomniało sobie, że od dni czterech nie widziano nikogo z rodziny nazewną, i naturalnie, zawiadomiono kommissarza policyi.

Urzędnik ten udał się natychmiast na miejsce wskazane, w asystencji swego sekretarza, lekarza, ślusarza i dwóch policyantów, a kiedy wyważono zamknięte szczerlnie drzwi mieszkania wzrok obecnych padł na straszliwy obraz przedstawiający się ich oczom.

Na nędznym łożu leżała matka i dwoje najmłodszych dzieci; u jej nóg mąż Hayen, leżący

w poprzek na trupie najstarszej córki, a o krok dalej, trzy trupy: dwóch chłopców i młodszej dziewczynki. Trupy te były już dotknięte zgnilizną i w stanie ostatniego rozkładu.

W jednym z rogów mieszkania stał fatalny ręczny piecyk, w którym były ostatki popiołów rozpalonego węgla.

Pośpieszono naprzód, oczyścić powietrze zarazone okropnym zaduchem. Otworzono jedyne okno szczelnie zatknięte gałganami i polano trupy kwasem fenilowym. Nagle i ku przerażeniu przytomnych, z łóżka, na którym leżała matka i dwoje dzieci, poruszyła się straszliwa postać matki, podnosząc okropne pokrycie. Błada, przerażająca, powstaje i przerażającym głosem domaga się powietrza, oddechu!

— Myślałam, że już umarła — woła, jak we śnie, nieszczęśliwa.

Wówczas lekarz zostawia trupy śpieszy z ratunkiem tej tak cudownie zmartwychwstałej kobiecie, i przywraca jej życie za pomocą energicznych leków i natychmiast wyprawia ją do sąsiedniego szpitala Tenon.

Ojca i dzieci, dla których wszelkie środki lekarskie były już zbyt bezużyteczne — położono na przyniesionych z biura dobroczynności marach i zawiadomiono władzę sądową (Le Parquet).

Łatwo można sobie wystawić, jakie okropne wrażenie wypadek ten sprawił na mieszkańcach sąsiednich ulic, powiększej części biednych wyrobnikach. Był to jeden z ich rzędu, który padał w całej sile wieku i z całą rodziną, pod okropnym strychulem biedy! Trzeba było powiększyć liczbę policyj, aby utrzymać i w porządku i pokój, ciągle rosnące tłumy publiczności i broń wejścia do straszliwego domu, (zatrącenia) — jak go nazwano natychmiast.

Wieczorem dnia tego stan matki Hayen tak się polepszył, iż mogła odpowiedzieć jasno na zapytania indagującego sędziego i dać pewne wyjaśnienia tej katastrofy, z której ona jedna tylko pozostała przy życiu.

Pokazuje się, niestety! że to gromadne samobójstwo postanowione zostało za wspólną zgodą wszystkich członków rodziny, rano 13 Lipca! Młoda Berta podjęła się kupienia za ostatnie kilka groszy potrzebnego węgla. O ósmej w wieczór zgromadzili się wszyscy; ojciec zamknął i zatkał szczelnie drzwi i okno. Dzieci pokładły się jak na zwykły spoczynek, a o czwartej godzinie zrana ojciec Hayen, jako ofiarnik straszliwy, zapalił piecyk z węglami i położył się obok swojej żony. Jakże mogły być myśli ostatnie tego człowieka, niech każdy w duszy swej rozważy.

W godzinę później, — jak opowiada matka Hayen — Berta rozpaczliwym głosem zaczęła wzywać pomocy ojca. Ten, oczadziały już, porwał się na nogi, ale nie mogąc się utrzymać — padł, i całym swym ciężarem przywalił konającą córkę!

Co potem, zaszło? — matka Hayen nie przypomina już sobie, oprócz tylko, że instynktownie naciągnęła kołdrę na głowę i temu-to — według zdania lekarzy — biedna kobieta winna ocalenie, bo nastąpiło letargiczne omdlenie, podczas którego wyziewy węgla, zatamowane kołdrą pokrywającą głowę nieszczęśliwej, nie miały całej swej śmiertelnej skuteczności.

Jednym słowem: straszliwy i bolesny dramat.

Starano się następnie, wytłómaczyć okoliczności poboczne, uniewinnić niedostatek informacji, zabiegów, starania. Znalezione powody do powątpiewania o wartości tego Hayena. Wątpliwą też jest rzeczą, czy to nazwisko, Hayen, jest jego prawdziwym nazwiskiem. Są jakieś poszlaki nieuczciwości tych ludzi. Dobrze, wszystko to być może — ale nic nie usprawiedliwia konieczności, w jakiej znalazło się osnoro ludzi — aby samobójstwem zakończyć życie.

Co robi — i jak sobie poczyna ta instytucja, która się zowie — *Assistance Publique*? Instytucja rozporządzająca 30-tu milionami rocznie? Oto zdobywa się na to, że według taryfy udziela pomocy miesięcznej, która się waży pomiędzy dwoma biegunami — minimum 4 fr. i maximum 6 fr. zapomogi miesięcznej. Jaki zkaż można wyciągnąć rezultat?..

Dlaczego tak jest? Bo to jest administracja z całym regimenterem urzędników wszelkich

stopni — a wśród nich niema ani jednego może, któryby ukochał biedę i nędzę z poświęceniem się! *usque ad finem*! Ogromna machina idzie porusza się, rozdaje, ale tak, jak się rozdaje bilety do teatru, a czasem gorzej, bo rozdawca ma dwa rodzaje biedy, przed sobą: biedę klerykalną i biedę anti-klerykalną — a więc, jak dziś, — zaspakaja naprzód anti-klerykalną, bo mu ta bliższa po sercu i po myśli. Ale myśleć o tem, że taki urzędnik, będzie szukać biedy z narażeniem, nie już własnego zdrowia, ale spokojnej egzystencji, — jest to marzyć na jawie. Cała więc kwestya zależy tu na pełności i ścisłości informacji o tem, kto jest w biedzie? kto potrzebuje i nie śmie nawet wołać o pomoc? — a póki to się nie stanie, nikt nie jest w mocy zapewnić nas, że taki dramat, jak ów rodziny Hayen, nie powtórzy się więcej.

Nim to nastąpi, — i czy kiedy nastąpi? — rzucmy zasłonę na tę okropną katastrofę i, rzejdźmy do rzeczy mniej bolesnych i mniej posępnych.

Mieliśmy właśnie 14. Lipca święto narodowe. Nie wdając się w oklepne już dzisiaj opisy, tej ulicznej zabawy, którą nawet, i sam paryżki *plebs*, zaczyna pogardzać powiedzmy słów kilka o tem, co było dawniej i jest do dzisiaj kluczem tego oficjalnego święta, o rewii wojsk, zebranych w tym celu w lasku Bulońskim.

Tegoroczna rewia odznaczyła się jeszcze od dawniejszych popisów wojskowych, lecz to tu poszło wprost do krwi szowinistów paryżskich marszem naprzód, jakby do ataku całego wojska w rozwiniętej kolumnie na jednej ziemi.

Dzienniki tutejsze, tłómacząc ten ruch wojenny i wrażenie publiczności — tak się wyraziły w ogóle w tej mierze:

Publiczność z swym prostym, zwykłym rozumem — nie pomyślała ani na chwilę, że przedstawić jej chciano obraz ataku na bagnety — tej dziś już przestarzałej tradycji, niemożliwej w zastosowaniu praktycznym, z powodu niszczących wyników ognia broni palnej — publiczność się nie pomyliła ani na chwilę, i zrozumiała o co właściwie rzecz chodzi.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że kobiece kursa lekarskie zapewne będą wkrótce otwarte, ponieważ w sferach rządowych poruszono kwestyą: gdzie mianowicie istnieć powinny z największą dla uczących się korzyścią?

— Wskutek zapytania jednego z kuratorów okręgowych Ministerjum Oświecenia podaje do wiadomości, że prośby o pozwolenie składania egzaminów na nauczycielki domowe powinny być opatrzone marką 80-kopiejkową.

— W Odessie grono młodych panien ze sfer intelligentnych zawiązało stowarzyszenie z celem dobroczynnego wychowywania dzieci porzuconych na ulicy miasta lub też umieszczonych w tamtejszej *Ochronie Biednych*. Zakład ten wychowawczy nosi miano *Nowa Rodzina*. Nadzór nad dziećmi powierzono kobiecie doświadczonej w tym kierunku. Zarząd sprawują trzy stowarzyszone.

— W Osmianie zawiązało się stowarzyszenie kobiet, złożone ze 150 członków, a mające na celu dostarczenie uboższej ludności tamtejszej nie ruinującego ją przez lichwę kredytu. Stowarzyszenie pożycza na zastaw ruchomości rzemieślnikom i drobnym gospodarzom rolnym pieniędzy bez procentu z wypłatą ratami tygodniowymi, co ułatwia im spłatę długu.

— W Wilnie praktykuje od 1887 r. dentyстка p. Homulecka z wielkiem powodzeniem. Obecnie oddała się temu zajęciu w Warszawie p. Zofia Gutzmann, zamieszkała przy ulicy Zgo-

da Nr 4. Wprawia sztuczne zęby, plombuje, lecz choroby dziąseł.

— Pewne kółko zacnych panien zajęło się prenumerowaniem *Gazety Świątecznej* dla służby lwowskiej i zarazem wypożyczaniem jej ubogim komornicom i dziewczętom wiejskim. Jest to szlachetna dobroczynność obdzielania chlebem ducha.

— P. Zofia Roszkowska, przełożona zakładu freblowskiego dla dzieci, tak zwanego *ogródka*, wzywa wszystkie osoby, posiadające popularne piosenki dla dzieci, oraz słowa do gier i zabaw zbiorowych, aby je zechciały jej nadsyłać.

— Z dniem 1-go Września zostanie otwartą przy ulicy Miodowej pod Nr 2 ogródek freblowski p. Maryi Kellerówny; pozwolenie na otwarcie podobnych zakładów otrzymały p. p. Matylda Zawrocka i Jadwiga Chruszczewska, a program każdego z nich obejmuje mniej więcej jednakowo różne gry i zajęcia dzieci od lat 4 do 7 według metody pedagoga niemieckiego Froebela i są to zakłady wysoce pozytywne dla dzieci tych szczególnie rodzin, których matka zajęta jest poza domem pracą konieczną na utrzymanie rodziny. Co do posyłania tam dzieci chowających się w tych warunkach szczęśliwszych, iż praca na chleb nie usuwa matki od ogniska domowego, rzecz wymaga namysłu. Czem gniazdko dla pisklęcia ptasiego, które osłaniają tam grzejąca skrzydła matki, tem dom jest dla małego dziecka. Ciepło uczucia macierzyńskiego, pieszczoty, tkliwości macierzyńskiej, potrzebne jest koniecznie tej istotce delikatnej do normalnego rozwoju — do rozbudzenia tam uczucia, które pójdzie za człowiekiem w życie, wywierając na nie wpływ nie dający się zastąpić niczem. Jak Alf nie zapominał nigdy krzyku matki, słyszanego w chwili okrutnego jej go wydarzenia, tak człowiek nie zapomina nigdy tego, co wziął od matki w latach dzieciństwa, co otrzymywał w staraniach, otaczających go tkliwie i urabiających mu serce, rozbudzających w niem siłę uczucia. W ogródku dziecku spotyka się z regulaminem, do którego stosować się musi pod prawem karności, wykonywanej ściśle, niżeli dążyć się to może w domu, i uczucie spełnionego obowiązku, odpowiedzialności moralnej, już przedstawiać mu się zaczyna, a stosunki z rówieśnikami poczynają urabiać do przyszłych obowiązków społecznych — twierdzą bezwzględnie zwolennicy ogródków freblowskich; ale da to wszystko w kilka lat później szkoła i „nie strzyże się wełny jagniąt“, a przytem dla czegożby matka nie mogła przeprowadzać tej nauki życia w wychowaniu domowym? Tyle się pisze o postępie, o pracy kobiecej; czyż to przecież miałyby się odnosić tylko do ruchu pozarodzinnego — czy kobieta u domowego ogniska nie miałaby tu uczestniczyć — czy ona, powołana przez swoje stanowisko w rodzinie i stanowiska tego ważność najwyższą, najdonioślejszego znaczenia w społeczeństwie, miałaby pozostać na stronie i nie podobać obowiązkom swym najważniejszym, najżywniejszym? Wpływu matki na dziecko są niewątpliwie najsilniejsze, a pierwsze rozbudzenie dziecka do życia uczuć i myśli, należy do matki, i jest rzeczą niemoralną, gdy się leniwie chce od tego usuwać i na ręce wyręczyteli to zdawać. Jeżeli ktoś powie, że potrzebne tu jest pewne uzdolnienie specjalne, odpowiedzieć mu należy, że dla matki rodziny specjalność ta jest właśnie obowiązkiem, od którego nie godzi jej się usuwać, jeżeli chce powinności swojej zażądać uczynić i zapewnić sobie obok miłości i szacunek dzieci w tych latach późniejszych, w których stają już obok niej, jako ludzie, niezależnie w życie idący.

— W salach zarobkowych fundacji Staszycza zaprowadzono w oddziale kobiet wypłatanie krzesel Mieszczących się tam kobiet jest dwadzieścia trzy na ogólną liczbę 45 pensjonarzy zakładu.

— Z kapitału zapisanego przez s. p. Maryannę Taube rozdane będą dwa w r. b. wsparcia dla stałych mieszkańców Warszawy wyznania rzymsko-katolickiego, a mianowicie jedno dla podupadłego kupca; drugie dla podupadłego rzemieślnika, każde po 75 rs. Podanie dla pozyskanie wsparcia należy wnieść do warszawskiej

Rady Miejskiej Dobroczynności. Uskutecznić to należy przed d. 31 Sierpnia.

— Księżna Elżbieta Czartoryska z Rokosso-wa kupiła od Niemki, L. Boy, wieś Dzieczyn, położoną w powiecie Gostyńskim, a mającą 2.600 mórg magdeburskich rozległości, za cenę 425.000 marek.

— Znanie czytelnikom naszym *Towarzystwo Kobiectw* w Pradze, zostające obecnie pod przewodnictwem p. Emilii Battowej, utrzymuje założoną przez siebie szkołę kobiecą przemysłowo-ludową, do której uczęszcza rocznie 600 uczennic. Szkoła dzieli się na sześć oddziałów specjalnych i corocznie urządza w Maju wystawę prac uczennic, co nietylko daje publiczności możność poznańnięcia się z kierunkiem szkoły i postępami w nauce, ale ułatwia zbyt ich wyrobów. *Towarzystwo* wydaje czasopismo kobiece *Żeńskie Listy*. Redaktorką jest Eliska Krasnohorska, poetka, której utwory w przekładzie polskim czasopismo nasze pomieszczało kilkakrotnie. Istnieje obok tego w Pradze kobiece *Towarzystwo Ochrony*, którego zadaniem jest opieka nad biednymi dziewczętami i sierotami wogóle. *Towarzystwo* to założyło i utrzymuje staraniem swoim w Lutemilu filię *Towarzystwa Kobiectw*, założoną w 1884 r., oraz w Pilźnie i Hrudinie. Prócz tego towarzystwa kobiece są licznie rozpowszechnione, tak w Czechach, jak i na Morawach, a to: *Towarzystwo Libuszy* w Pacowie, *Towarzystwo imienia K. oliny Swietly* (talentowanej powieściopisarki z pocziwą tendencją i wybitnem uczuciem miłości Czech) w Libercu, *Towarzystwo Dobroczynności*, oraz *Towarzystwo muzyki wokalne* „Dobromila” w Przybramie, *Towarzystwo śpiewackie panien* „Ludmila” w Pardubicach, Centralny komitet pań *Macierzy szkolnej* w Beneszwie, także komitet pań: *Narodny Jednoty Poszumowskie* w Bechinie. O wszystkich tych stowarzyszeniach kobiet, oraz ich działalności i funduszach posiadanych, powiadamy dokładnie z każdym rokiem, najwytworniejszy z kalendarzy czeskich, wychodzący w Pradze: „Kalendar pan a divek czeskych”.

— Praca kobiet w kopalniach została bezwzględnie zabronioną we Francji.

— Znana i w naszej literaturze powieściopisarka angielska, Braddon, otrzymała na pewnego rodzaju plebiscycie literackim największą ilość głosów, przyznanych kobietom: 1.808. Ouida, mimo bardzo wysokiego talentu, otrzymała miejsce czwarte, a to ze względu, że jej dzieła „niezawsze wywierają wrażenie dodatnie” to jest, że niezawsze ich idea moralna odpowiada temu, czego Anglia żąda od kobiet i dla kobiet swoich. Społeczeństwo duchowo zdrowe tak sądzić powinno. Nie sam talent stanowi o społecznej użyteczności pisarza.

— Angielska Akademia Sztuk Pięknych przyznała rzeźbiarce Florencji Hannan medal srebrny za studium: „Głowa starca”. Dzieło nagrodzone zostało przyjęte na wystawę *Towarzystwa sztukmistrzów angielskich* na przeciąg dwumiesięczny: Lipiec i Sierpień.

— Świeżo wyszłe w Londynie dzieła Walter-Scota, opatrzone są przedmową miss Emilii Stevenson, w której rozwija ona poglądy swoje na tworzenie powieściopisarskie i wpływy dzieł tego rodzaju na czytelników: na moralność publiczną, na poniżenie lub podniesienie poziomu uczuć w społeczeństwie. Potępiając bardzo surowo dzisiejszą naturalistyczną szkołę francuską, odmawia jej najpierw prawa do tego tytułu z powodu, że naturą człowieka nie jest zejście do stanu zwierzęcego, przez zapoznanie praw moralności, która dotychczas rządziła i rządzić będzie

zawsze Ludzkością, podnosząc ją do coraz szlachetniejszego stanu myśli i uczuć, rozszerzając dobrodziejstwa oświaty do kół coraz szerszych, aż „nikt na ziemi nie będzie ciemnym i nieświadomym, co jest razem przywilejem i obowiązkiem człowieka”. Dalej przedstawia autorka dodatnie strony powieści historycznych z tego względu, że przedmiotem ich nie są losy pojedynczych ludzi — szczęście lub nieszczęście jednostek, ale te sprawy wysokie, szerszego znaczenia, wśród których ważą się wielkie interesa narodów i Ludzkości. Fikcyje nawet stawiane na tle takim budzą szlachetniejsze wzruszenia uczuć, dają wyobraźni szersze krajobrazy życia ludzkiego, poświęconego sprawom wyższym, niż egoistyczne pragnienia i egoistyczne szczęście. Miłość, najgorętsza nawet, jeżeli zamyka nas głównie w koło własnych interesów naszego uczucia, naszych obecnych pragnień i celów jest egoizmem we dwoje — dlatego to powieści na tle historycznem zawsze będą miały ze względu na etykę uczucia miejsce wyższe od fikcyi rodzajowych.

— Miss Chapman i miss Nyström, pionierki angielskie prac ręcznych systemu zwanego „Sloyd”, zostały zaproszone przez angielskie towarzystwo lekarskie „British Medical Association”, aby przybyły na zebranie Towarzystwa wraz z parą pupillów swoich: chłopcem i dziewczynką, a to w celu, aby członkowie Towarzystwa mogli przekonać się naocznie o ile system ten odpowiada pracy małoletnich pod względem fizycznego wychowania młodzieży. Zaproszenie zostało przyjęte i wspomniane panie udały się do Birminghamu, gdzie w roku bieżącym odbędzie się walne zebranie angielskiego *Towarzystwa Lekarskiego*.

— Siostra Róża Gertruda pisała do redakcyi gazety angielskiej *Pall Mall Gazette* z wysp Hawajskich, donosząc, że powierzona jej stacya tręślowatych znajduje się w bardzo dobrych warunkach, że mając chorych swoich zgromadzonych w pobliżu, może skutecznie oddziaływać na ich dobrobyt moralny i materialny niż na Molotai. Obręb posiadłości, oddany jej na użytek osady leczniczej, obejmuje ośm akrów przestrzeni: może zatem dopilnować osobiście dzieła leczenia

i czynić je wskutek tego pomyślniejszem. Osada zapełniona jest głównie przez młodzież, przeważnie przez chłopców, bez wyjątku posłusznych i intelligentnych. Pod tym względem góruje tu młódź męzka nad dziewczętami. Dwóch z pomiędzy pacjentów zajęła Siostra pracą w aptece. Jeden, dwudziestoletni młodzian Keauli, drugi dwunastoletni chłopiec Kolomana, są tak posłuszni, roztropni i pracowici, że „nawet w Europie nie mogłaby mieć użyteczniejszych asystentów, którym nie potrzeba nigdy dwa razy powtórzyć jakiegoś rozkazu”.

— W Indjach Angielskich znajduje się obecnie 90.000 wdów nie mających więcej nad dziećmi lat wieku.

— W Hollandyi zawiązało się stowarzyszenie pilnujące interesów pracy i dobrobytu kobiet klas wyższych, które z powodu swego społecznego stanowiska często bardzo nie mogą znaleźć sobie pracy dającej im szczęśliwe istnienie o siłę własnej. Programat stowarzyszenia jest: I-o. Popieranie takiej nauki kobiet tych klas, aby następnie mogły samodzielnie zapracować sobie na utrzymanie. II-o. Dążenie do zrównania płacy kobiet z płacą męczyzny, jeżeli zajmują tak w gminach, jak i w biurach rządowych posady niegdyś należące do męczyzny. III-o. Wprowadzenie kobiet na katedry szkół i uniwersytetów. IV. Przyznanie kobietom prawa do urzędów w magistratach, przypuszczenie ich do adwokatury i na urzędy sędziów pokoju. V. Przyznanie matkom takich samych praw opieki nad dziećmi, jakich używają ojcowie. Przyznanie mężatce takich samych praw do zarządu wspólnym majątkiem.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYN Y i HYGIEN Y POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt X-ty wyszedł z druku i zawiera między innemi: Krwotok, krynica, krztusica, krzyk, kuchnia, kule, kulczowy, kurcz, kurczę, kurczęta, kuropatwa, kurz, kusso, kwas pruski, Kwas węglowy, kwasy, kwiaty. Lato, leczenie prostujące, lekarz, likiery, limonady i t. p.

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płaćących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Stanowisko kobiety w gospodarstwie społecznem, przez M. Iluicką. — Drugie Pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. (dokoń.) — Walka Tytanów, przez J. Nitowskiego (dalszy ciąg). — Przegląd malarski. Wystawa Towarzystwa zachęty przez Wiktora Gomulickiego. — Nowiny Paryżkie. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci powieści, pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 38 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Pedaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 8 Августа 1890 года.

Torebka „Pompadour.“

Rycina Nr 35 i 36 w Bl. Nr 23.

Haft wykonać podług ryc. Nr 36 przedstawionej w oryginalnej szerokości, na białej tkaninie, filozelą koloru jasno-niebieskiego, oliwkowego, poziomkowego i cienkim złotym sznurkiem. Sztabki ukośne środkowej przezroczystej części wykonać jedwabiem koloru oliwkowego, przejmując przez 6 nitek tkaniny. Figury szpiczaste, jedwabiem koloru poziomkowego, każdy ścieg przejmując przez 12, 8 i 4 nitki. Małe figury kwadratowe ściegiem płaskim przez 2—6 nitek, naprzemian kolorem oliwkowym i terracota. Krzyżujące się figury jasno-niebieskim jedwabiem. Ścieg gałązkowy złotą nitką. Rzędy otaczające, ciągle naprzemian w górnej części i poniżej przez 4 prostopadłe nitki i przez 4 poprzeczne przerabiać złotą nitką. Wykonać z tekstury podstawę 19 c. długą a 11 c. szer. oraz cztery ściany boczne odpowiedniej wielkości a 7 c. głębokości. Połączyć części, pokryć ściany boczne na zewnątrz i wewnątrz atłasem, część zewnętrzną pokryć haftem. Dolną część wewnętrzną wykleić atłasem lekko podwatowanym. Woreczek z materyi jedwabnej koloru niebieskiego i sznur jedwabny tegoż koloru zakończony jedwabnemi bąbelkami wykończają całość.

Serwetki do lodów.

Rycina Nr 37—39. (Deseń odw. str. tabl. Nr XIII, fig. 70 i 71).

Serwetki 13½ cent. wielkości oprócz koronki, wykonane na tkaninie lnianej. Serwetki Nr 37 i 38 wykonane podług deseni fig. 70 i 71, które przenieść należy na tkaninę, podgrunтоваć farbą wodną brązową i wykonać serwetkę Nr 37 ściegiem dzierganym, gałązkowym, rybiej łuszczyki i pocztowym, kolorami: brązowym, oliwkowym i poziomkowym kordonkiem jedwabnym. Serwetkę Nr 38 temież samymi ściegami, oraz ściegiem płaskim kordonkiem niebieskim, oliwkowym i miedzianym w kilku cieniach. Serwetka Nr 39 otoczona obrąbkami z merszką 1 c. szer. deseni wykonany niebieską bawełną w dwóch cieniach, ściegiem krzyżowym, supelkowym i Holbeina. Po wykończeniu otoczyć koronką klockową wykonaną podług ryc. Nr 41. Koronka ta wykonana niemi koronkowymi, podług wzoru oryginalnej szerokości ryc. Nr 40.

Mantylka z aksamitu i koronki.

Rycina Nr 1.

Mantylka z aksamitu koloru zielonego, zaopatrzona czarną jedwabną podszewką i ozdobiona czarnymi koronkami. Tyl na część mantylki wykonana formą palotową, przednia podług ryc. w kształcie dłu-

gich szarf. Wierzchnia część rękawów ozdobiona koronką szeroką.

Suknia spacerowa z sukna.

Rycina Nr 2.

Suknia z sukna jasno - popielatego ozdobiona sukmem koloru białego i ozdobiona pasmanterią 6½ cent. szer., której wzór podaje ryc. Nr 9 szerokości oryginalnej ¾ części. Pasmanterya ta wykonana na białej wełnianej taśmie sznurkiem jedwabnym koloru popielatego mieszanym z metalowemi i stalowemi niemi. Dolna część wierzchniej spódnicy otoczona sukmem białym na 25 cent. wysokości. Stanik w rodzaju kaftanika z materiału popielatego, z kamizelką z białego sukna i z takimież rękawami. Wykończenie pasmanterią podług ryciny.

Kołnierz „Médicis“ wykonany z pasmanteryi.

Rycina Nr 3.

Kołnierz z czarnych perełek wykonany sposobem pasmanteryjnym, brzeg zewnętrzny prze-wleczony drucikiem i otoczony frendzlą z perełek 8 cent. szer.

Chusteczki damskie do nosa.

Rycina Nr 12 i 13.

Chusteczki używane przeważnie jako ozdoba,

wykonane z białego jedwabnego fularu, haftowane i dziergane w ząbki kolorowym jedwabiem.

Suknia z etaminy i „surah.“

Rycina Nr 16.

Suknia z etaminy koloru électrique i tegoż koloru w odcieniu ciemniejszym jedwabnego „surah.“ Spódnica wierzchnia z etaminy, lekko drapowana z przodu, z tyłu zaś w ściśle ułożona fałdy, dolna część spódnicy zakończona szerokim obrąbkami. Stanik z krótkim bawetem z „surah“ wykonany podług ryciny w połączeniu z etaminą. Rękawy z etaminy przybrane w górnej i w dolnej części „surah.“

Suknia z chusteczką.

Rycina Nr 17 i rycina Nr 23 w Bl. Nr 35.

Suknia z sukna koloru „bordeaux“ w tylnej części nieco powłóczyta, ozdobiona haftem maszynowym 46 cent. szer. wykonanym czarnym jedwabiem. Stanik gładki przybrany odpowiednio haftem z pelerynką z sukna, pasek aksamitny.

Suknia z fularu gładkiego i w deseń.

Rycina Nr 18.

Spódnica z fularu ponsowego 220 c. obwodu, podszyta do połowy wysokości muslinem. w tylnej części zaopatrzona tasiemkami do wiązania, w dolnej jak ryc. wskazuje, obszyta 3-ma rzędami różnej szerokości aksamitki. Tiunika z fularu ponsowego w deseń czarny, drapowana podług ryciny, obszyta w dolnym brzegu frendzlą jedwabną mieszaną czarną z ponsowym. Stanik krótki lekko marszczony z przodu i z tyłu z fularu ponsowego, przybrany czarnym aksamitem i chusteczką z fularu w deseń obszytą frendzlą.

Suknia z popeliny.

Rycina Nr 19.

Suknia z popeliny koloru popielatego z małym trenem, przybrana pasmanterią z popielatego koloru perełek. Napiersnik i rękawy pokryte czarnym koronkowym tiulem w rzucane muszki.

Koszule męskie.

Rycina Nr 26 i 27.

Koszule z białego perkalu z przodami z cienkiego póna ozdobione haftem lub zakładkami. Kołnierze proste lub z wyginanymi różkami.

Kołnierze męskie i mankiety.

Rycina Nr 28 — 30. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 35—37.

Kołnierze i mankiety wykonane z cienkiej lnianej tkaniny wykonać podług ryciny i odpowiednie kroju.



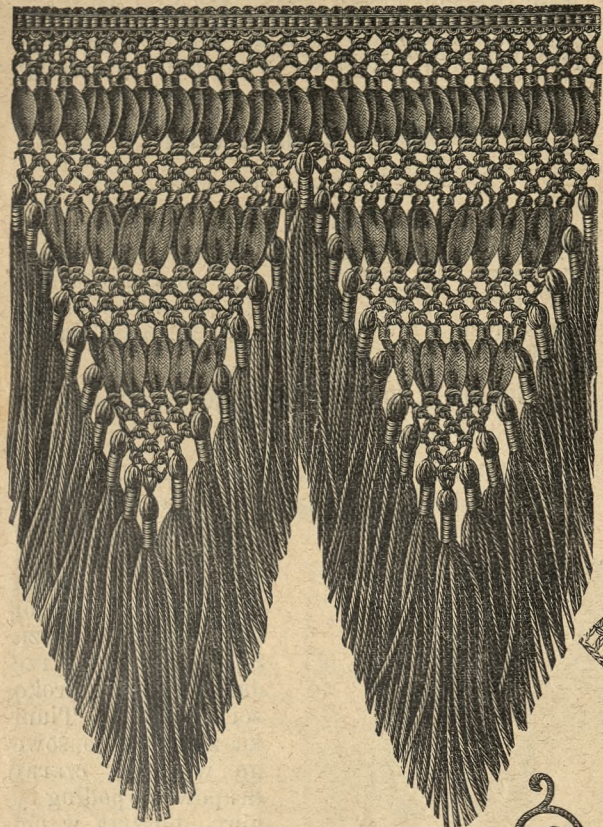
Nr 1. Mantylka z aksamitu i koronki.

Nr 2. Suknia spacerowa z sukna (do ryc. Nr 9).

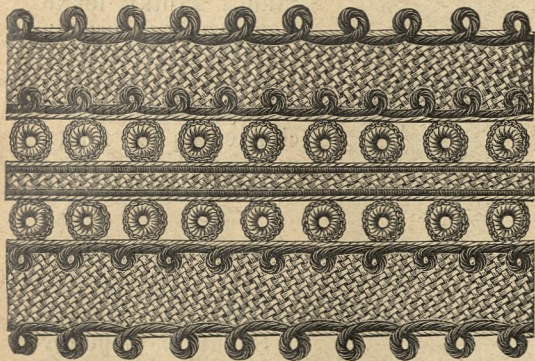
Koszula nocna mężka.

Rycina Nr 31. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 31—32).

Koszula z szyrtingu 112 c. dług., ozdobiona szlaczkiem haftowanym kolorem niebieskim i granatowym. Po przydłużeniu w kierunku strzałki fig. 31 z uwzględnieniem konturu przedniego wycięcia szyi, oraz po dopełnieniu złożenia fig. 32 skrajać po dwie części złożone wzdłuż środka. Zeszyć części stanu podług cyfr, zostawiając w dolnej części rozporek na 27 cent. dług. Wykonać nacięcie z prawego boku. Do prawe-



Nr 4. Frendzla siatkowa z jedwabnego kordonku i takież plecionki (połowa oryginalnej szerokości).



Nr 9. Szlak z pleśni wełnianej, jedwabnego sznurka i nici stalowych ($\frac{2}{3}$ oryginalnej szerokości) do ryc. Nr 2.

go brzegu przedniej części przyszyć listewkę $2\frac{1}{2}$ c. szer. zaopatrzoną guzikami, do brzegu lewej przedniej części haftowany szlaczek i wykonać dziurki. Wszyć kieszonkę z lewego boku, ozdobić szlaczkiem haftowanym, wycięcie szyi obszyć szlaczkiem podług ryc. Rękawy zeszyć od 66 do 70, ozdobić szlaczkiem i wszyć w koszulę, trafiając na 66 w 66.

Suknia z materiału „serge.”

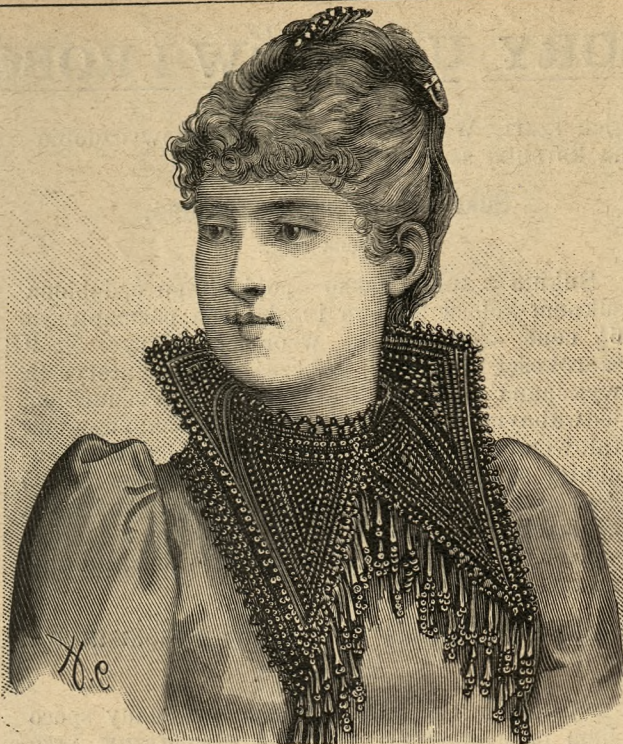
Rycina Nr 37.

Suknia z „serge” koloru „Edison” ozdobiona tymże materiałem koloru granatowego. Złożona jest ze spódnicy i krótkiego kaftanika przepiętego szerokim pasem.

Suknia spacerowa z materiału gładkiego i w kraty.

Rycina Nr 38.

Spódnica z podszewki 220 cent. obwodu, pokryta szkockim materiałem krajany ukośnie 330 cent. obwodu. Dolna część obszyta pasami z materiału gładkiego 12 i 8 cent. szer. Tylne części układane w fałdy, lewy bok przybrany częścią gładkiego materiału ułożonego w kontrafałdy. Stanik gładki z materiału w kraty.



Nr 3. Kołnierz „Medicis” z pasmanterii.



Nr 6. Część karczki do koszuli (do ryc. Nr 2 w Bl. Nr 35), robota szydełkowa.



Nr 7. Monogram.



Nr 8. Monogram.



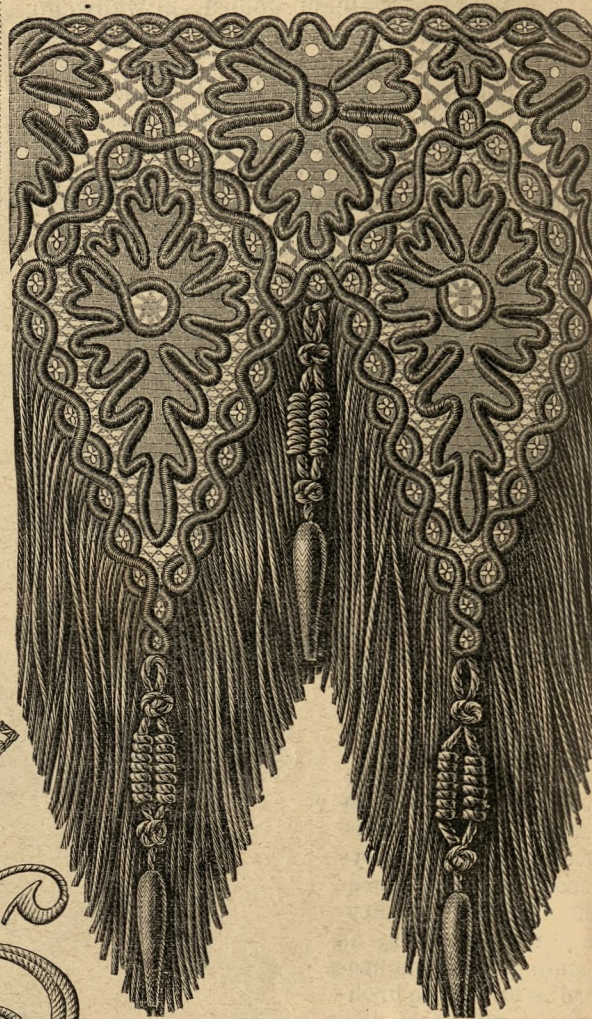
Nr 11. Frendzla siatkowa z kordonku jedwabnego i takież pleśni (skrócona $\frac{2}{3}$ oryginalnej szerokości).

Pelerynka wszyta w karczek częścią z materiału gładkiego częścią w kraty, wykończa całość.

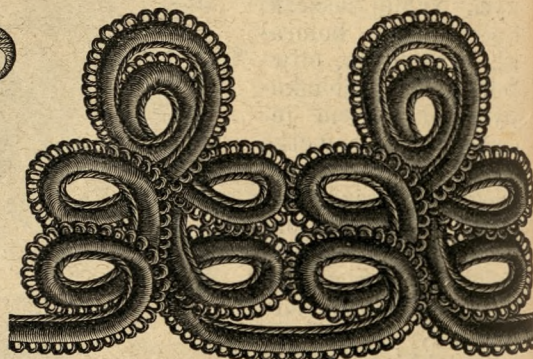
Suknia do żałoby.

Rycina Nr 20 w Bl. Nr 35. (Krój pierw. str. tabl. fig. I—III).

Suknia z czarnego kaszmiru ozdobiona angielską krepą i szlaczkami haftowanymi na takiejże krepie. Spódnica z podszewki 220 cent. obwodu, długości 106 cent. z przodu a 111 cent.



Nr 5. Frendzla na tle koronkowym (połowa oryginalnej szerokości).



Nr 10. Szlak pasmanteryjny z wełnianej pleśni (szerokość oryginalna).

w części tylnej podszyta na 45 cent. muslinem i pokryta w dolnej części kaszmiem na 13 c. wysok. Na 30 i 60 cent. w górnym brzegu zaopatrzona tasiemkami do ściągania. Przednią część tiuniki skrajać podług fig. I do 20 części zmniejszonej, jedną część złożoną wzdłuż środka. Na 2 cent. od dolnego brzegu obszyć krepą zaopatrzoną podkładem z muslinu. W górnym brzegu wykonać fałdy podług ryc., mocując $\dagger$ oznaczone lit. a na kropce a i w górnym brzegu przyszyć do spódnicy oraz od 1 do 2. Następnie skrajać podług fig. II i III po dwie części, pierwszą przyszyć od 1 do 2 do fig. I, umocować $\dagger$ oznaczone lit. b na kropce b fig. I-ej i przyszyć do spódnicy od 3 do 4. Tylne części zeszyć od 5 do 6 i od 3 do 4, pozostawiając na lewym boku rozporek 27 c. dług. Na prawym boku umocować $\dagger$ c fig. III na kropkę c fig. II (z lewego boku zapina się na haftki). Wolny dotąd brzeg fig. III zmarszczyć od dwukropka do * b. Przyszyć * a na * b i wszyć w pasek z materiału podwójnie złożonego. Stanik ozdobić rodzajem napiersnika i przednie części górne pokryć gładką krepą, dolne zaś fałdowanym kaszmiem. Kołnierzyk stojący. Rękawy w dolnej części obcisłe ozdobione krepą gładką i falbanką haftowaną na krepie.



Nr 16. Suknia z etaminy i „surah.”

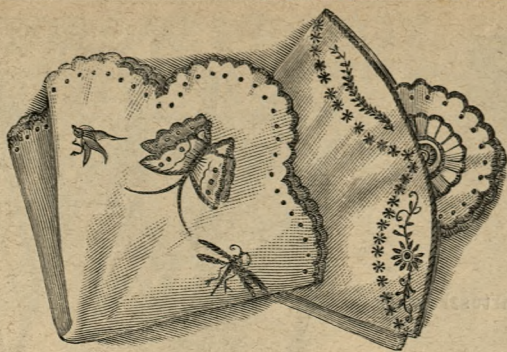
Suknia spacerowa z kaftanikiem.

Rycina Nr 22 i 19 w Bl. Nr 35 (do ryc. Nr 14 i 15 w Bl. Nr 34). Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—25).



Nr 17. Suknia z chusteczką (do ryciny Nr 23 w Bl. Nr 35).

Suknia z materiału wełnianego w kraty czarne, krajana ukośnie, oraz z sukna czarnego. Złożona jest z spódnicy, stanika, gorsecika i kaftanika otwartego w części przedniej. Wykonać spódnice z jedwabnego repsu 208 cent. szer. zaopatrzyć do połowy wysokości podszewką z musli- nu, przyszyć tasiemki do ściągania w odległości 24 i 64 cent. od górnego brzegu i dolną część otoczyć falban- ką plisowaną 8 cent. szer. i pokryć falbaną z materiału w kraty 20 cent. wys. Stanik skrajać po dopełnieniu złożonych fig. 3 i 10, z podszewki podług fig. 1, 8 i 9, z materiału w kraty podług fig. 3—6; z sukna podług fig. 10 po dwie części, z sukna podług fig. 2, z podszewki podług fig. 7 po jednej części złożo- nej wzdłuż środka. Zaopatrzyć pod- szewką fig. 2, 4—6, kołnierz zaś podkładem. Wykonać zaszwki w przednich częściach z podszewki, przymocować napiersnik do pra- wej przedniej części (dó lewej zapinać na hafteczki). Przednie czę- ści z materiału wyłożyć wzdłuż linii zgięcia, mocno przyszyć trzy + na kropce, zmarszyć od dwukropka do 12 i przyfastrygować po- dług cyfr do podszewki. Zeszyć plecy, boczki i przednie części po- dług cyfr, zaopatrzyć przednie części w hafteczki do zapinania. Kołnierz obłożyć suknem od przedniego brzegu aż do linii, dalej zaś materiałem w kraty, przyszyć takowy do stanika od 10 do 14. Ze- szyć wierzchnie części rękawów z podszewki od 15 aż do pierw- szego +. Rękawy z materiału przyfastrygować do podszewki, zmarszyć takowe od + do + oraz w górnej części od dwukropka do dwukropka, zewnętrzny szew wykonać od + do 16, wewnętrzny od 17 do 18. Wzdłuż rozporka przyszyć guziczki i pentelki wykonane ze sznurowadła, umocować miejsca oznaczone * a i b i wszyć rękawy w stanik. Gorsecik skrajać z sukna i podszewki podług fig. 11—16 po dwie części, odpowiednio do cyfr pozesywać, a w tylnym brze- gu wykonać dziureczki do sznurowania jedwabnym czarnym sznu- reczkiem. Tiuniki skrajać z materiału w kraty podług fig. 17 jedną część złożoną wzdłuż środka, podszyc dolną część muslinem na 16 cent. wys. i zaopatrzyć szerokim obrębem. W tylnej części zeszyć od 31 do 32, w górnym brzegu umocować miejsca oznaczone + a i b na kropce a i b. Zmarszyć lekko pomiędzy fałdą od + b do + a i przy- szyć od 33 do 34 na sztorc do gorsecika wzdłuż gładkiej linii. W górnym brzegu wystębnować a w przedniej części przybrać guzicz- kami jedwabnymi. Kaftanik skrajać po dopełnieniu złożenia fig. 15, 22 i 24 z sukna czarnego podług fig. 18 do 22, 24 i 25 po dwie części. Podług fig. 23 jedną część złożoną wzdłuż środka. Wykonać nacięcia w przednich częściach, wszyć kieszonki, zaopatrzyć jedwabną czarną podszewką fig. 19—22, 24 i 25, zeszyć plecy, boczki i przednie części aż do rozporka z prawego 3 boczka i pleców i przyszyć do boczka listewkę 6 cent. szer. odpowiedniej długości. Kołnierzyk zaopatrzyć podkładem, wszyć takowy, obłożyć przednie części po lewej stronie materiałem w kraty i wyłożyć takowe ra-



Nr 12 i 13. Damskie chusteczki od nosa



Nr 14 i 15. Suknia spacerowa (do ryciny Nr 22 w Bl. Nr 35). Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—17.

zem z kołnierzem podług ryc. Połączyć rękawy wierzchnie ze spodniami podług cyfr, przybrać wzdłuż rozporka guziczka- mi. W górnym brzegu zmarszyć od * do * i wszyć w kaftanik trafiając w 51 na 51 przednich części.

Przepisy gospodarskie.

Pomidory nadziewane.

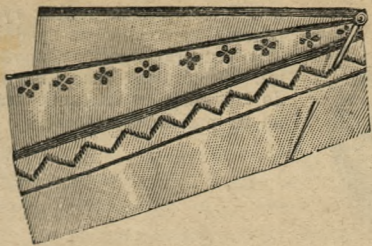
Duże równe pomidory zerznąć z wierzchu niewiele, wybrać pe- stki z mięsnią o ile się da, pestki odrzucić, zrobić farsz z mięsa wie- przowego surowego lub wołowego gotowanego jak na pierogi zwy- czajne, biorąc masło, żółtko, buł- kę, tarce, sól, pieprz i tyle czosn- ku tartego co łypek od szpilki, do-łożyć ową miazgę do pomidorów, wymieszać, napelnić pomidory, przykręć denkami i ułożyćwszy na półmisek oliwą obficie wysmaro- wany wstawić do pieca, gdy się zapieką są dobre. Podać na ja- rzyinę.

L. C.



Nr 18. Suknia z fularu gładkiego i w desen.

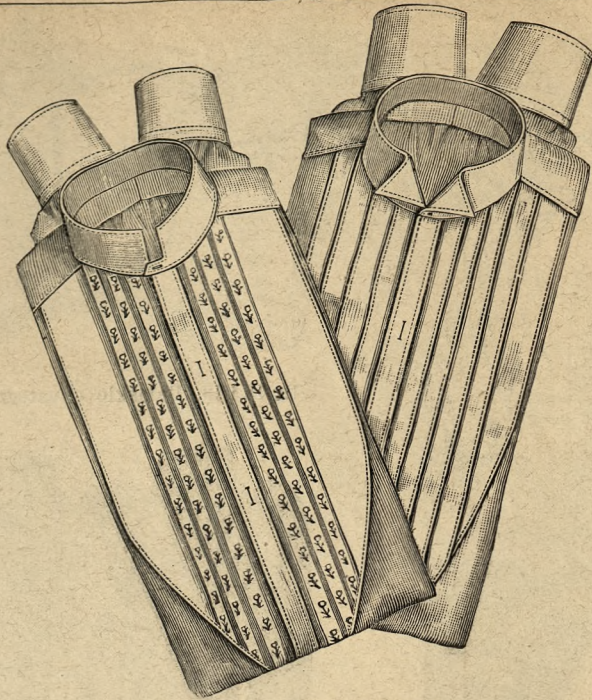
Nr 19. Suknia z popeliny.



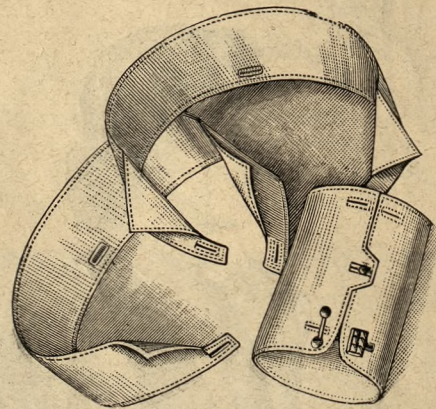
Nr 20—22. Szlaczki do ozdoby bielizny, fartuszków itp.



Nr 23—25. Szlaczki maszynowe do ozdoby bielizny, fartuszków itp.



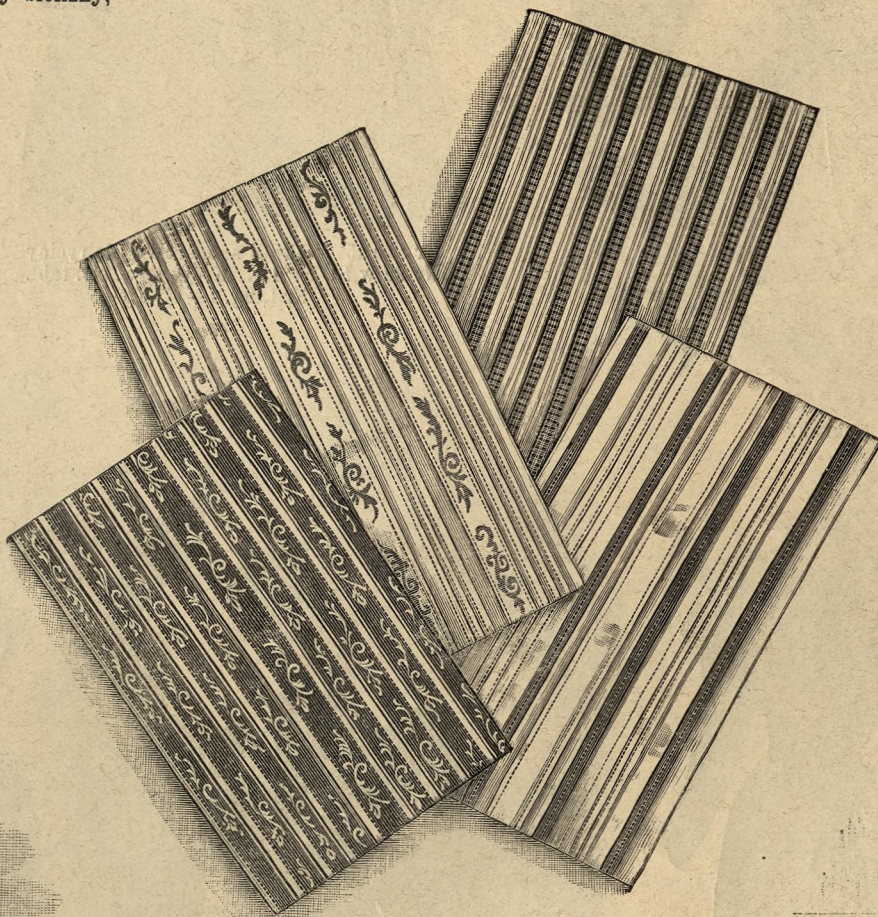
Nr 26 i 27. Koszule męskie.



Nr 28—30. Kołnierze i mankiety męskie. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 35—37).



Nr 31. Koszula męska nocna. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 31 i 32).



Nr 33.—36. Wzory przedów do koszul.



Nr 32. Koszula męska z materiału wełnianego. (Krój i op. odwr. str. tabl. Nr X, fig. 67—72).



Nr 37. Suknia z materiału wełnianego „serge.” (Opis odwr. str. tabl.).

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z groszku zielonego.
2. Sztukamieśa z mizeryą
3. Grzyby ze śmietaną.
4. Kurczęta z kompotem.
5. Jabłka smażone w cieście.

Uwaga.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze Bluszczu służy też do Nr 35.



Nr 38. Suknia spacerowa z materiału wełnianego.